NR 39

ŚWIATOWID

nr. 39

KSIĄŻĘCE GODY W KRAKOWIE.



W ubiegły czwartek odbyły się w Krakowie uroczyste zaślubiny ks. Cecylji Lubomirskiej i ks. Gabriela de Bourbon. Szczegóły w specjalnym reportażu na str. 7, 8 i 9. Na zdjęciu: Młoda para opuszcza po ślubie Katedrę [illegible]

U KRESU WĘDRÓWKI.



Studenci z Politechniki warszawskiej na dworcu warszawskim wynoszą trumnę ze zwłokami śp. inż. Stanisława Wigury.

Po wspaniałych uroczystościach żałobnych w Cieszynie, które zamieniły się na wielkie święto zbratania polsko-czechosłowackiego, trumny ze zwłokami śp. por. Żwirki i inż. Wigury odbyły triumfalny pochód ze Śląska do Warszawy, gdzie złożono je w grobach zasłużonych na Powązkach, na wieczny spoczynek.

Po drodze na wszystkich stacjach gromadziły się niezliczone tłumy publiczności, które w żałobnem skupieniu, z obnażonemi głowami witały smutny pociąg, wiozący śmiertelne szczątki obu bohaterów do stolicy. Szczególnie imponująco wypadła ta manifestacja w Krakowie, gdzie trumny dosłownie zasypano kwiatami.

Dnia 13-go o 1-szej w nocy przybyły one do Warszawy i zostały umieszczone w kościele św. Krzyża, na dwóch wysokich katafalkach, przy których straż zaciągnęli oficerowie pułków lotniczych. Po mszy żałobnej, którą celebrował jego Ekscelencja ks. biskup polowy Gall, umocowano trumny na kadłubach dwóch samolotów okrytych kirem i zielenią i kondukt ruszył z przed kościoła. Przed lokalem Aeroklubu Polski, jako pierwszy wygłosił przemówienie znany lotnik prof. Pruszkowski, żegnając w rzewnych słowach por. Żwirkę i jego nierozłącznego towarzysza inż. Wigurę.

O godzinie 1-szej kondukt stanął przed bramą cmentarną. Brało w nim prawie 200 tys. ludzi.

Szczególnie wzruszające wrażenie robiły awionetki, które krążyły nad Warszawą. To towarzysze międzynarodowego rajdu, którzy z porucznikiem Żwirką brali udział w Challenge'u, żegnali go w ten sposób. Krążyły srebrzyste ptaki, ale nie było już wśród nich porucznika Żwirki. Zamykała się nad nim zimna mogiła, biorąc go na zawsze w swoje objęcia.



Widok ogólny nawy głównej kościoła św. Krzyża w Warszawie. — W pośrodku trumny ze zwłokami śp. por. Żwirki i inż. Wigury.

Pochowali ich obok Reymonta, obok zasłużonych. Bo też zasłużyli się dobrze sprawie polskiej. Niech więc odpoczywają w spokoju.

Módlmy się za dusze ś. p. Franciszka i Stanisława.



Wśród niezliczonych tłumów posuwa się kondukt pogrzebowy przez ulice Warszawy.



Na cmentarzu na Powązkach. Ks. biskup polowy Gall sypie ziemię na trumny tragicznie zmarłych lotników i odmawia za nich ostatnie modły.

NOWY DAR DLA MUZEUM NARODOWEGO W KRAKOWIE.



Grupa posążków bóstw buddyjskich. Na dole od lewej: bóg śmierci, dalej święty tybetański Łobon Badma Dzunaj, patron urzędników, wreszcie genjusz dziesięciu stron świata, siedzący na tygrysie. U góry posążek Buddhy w otoczeniu posążków mniejszych bożków i bogiń, czczonych w Tybecie.



Posążek bóstwa długowieczności Ajuszy, ofiarowany przez Dalej Lamę.

W ubiegłym tygodniu wzbogaciły się zbiory Muzeum Narodowego w Krakowie nowym darem. Prof. U. J. Dr Juljan Talko Hryncewicz przekazał Muzeum Narodowemu w Krakowie w imieniu swojem i swej żony zbiór objektów sztuki chińskiej i japońskiej, zastrzegłszy sobie tylko ich dożywotnie używanie. Powstanie tego zbiorku łączy się ściśle z działalnością czcigodnego Ofiarodawcy. Od roku 1892 przez piętnaście lat terenem jej była Wschodnia Syberja. — Prowadzone w tym okresie studja profesora Hryncewicza nad Burjatami, Mongoło-Chałchasami i Tunguzami, oraz znane jego wykopaliska w pasie zabajkalskim, umożliwiające zdefinjowanie pochodzenia Hunów, zjednały polskiemu uczonemu wielkie imię w świecie naukowym. Również jego działalność społeczno-filantropijna zaskarbiła mu ogólną sympatję społeczeństwa syberyjskiego. Wśród tej wytężonej działalności znalazł prof. Talko-Hryncewicz czas na stworzenie małego, lecz ciekawego zbiorku objektów sztuki wschodniej, ofiarowanego obecnie krakowskiemu Muzeum. Składają się nań głównie okazy ceramiki chińskiej i japońskiej, dalej misterne naczynia zdobione emalją cloisonne i laki japońskie. Najcenniejszym jednak jest dział posążków bóstw buddyjskich. Bogato złocone, starannie cyzelowane, rzucające się one w oczy jaskrawą barwą swej polichromji, przedstawiające fantastyczny Olimp świętych, demonów i bóstw opiekuńczych, czczonych w świątyniach lamańskich w Tybecie. Część ich powstała w warsztatach w Urdze, nie brak jednak i takich, które przywędrowały do Tybetu z dalekich Indyj. Z pośród figurek zbiorku, wyobrażających Buddhę, rzadki typ reprezentuje posążek Dzan-Dan-Dzo, przedstawiający młodego Buddhę w postaci stojącej, ubranego w długą szatę. Prototyp tego posążku, wykonany z drzewa różanego, a umieszczony w jednej ze świątyń Pekinu, zaginął w czasie wojny japońsko-chińskiej. Specjalne również praetium affectionis posiada w tym zbiorze mała figurka Ajuszy, bóstwa długowieczności, stanowiąc ni mniej ni więcej jak tylko dar żywego boga wschodu Dalej Lamy z Lhassy. Nie brak również w tej kolekcji ciekowych przykładów i z grupy demonów, jak np. posążek Łobon-Badma-Dzunaja, patrona urzędników, potrząsającego buławą sprawiedliwości, „chadangą", na której nanizane są głowy delikwentów.

Zbiorek, ofiarowany przez prof. Juljana Talko Hryncewicza i jego żonę, wzbogacił więc wydatnie dział zabytków wschodnich Muzeum Narodowego, dopełniając bogate zbiory sztuki japońskiej i chińskiej, jakie Muzeum posiada z zapisów F. Gesińskiego, Goldsteina, Kowarskich i Grubissicha. Nabytek ten jest tembardziej pożądany, że sztuka Dalekiego Wschodu budzi dzisiaj coraz większe zainteresowanie centrów kulturalnych świata, na co chociażby wskazuje otwarcie szeregu nowych muzeów sztuki wschodniej w Europie i coraz liczniejsze publikacje z tego zakresu.

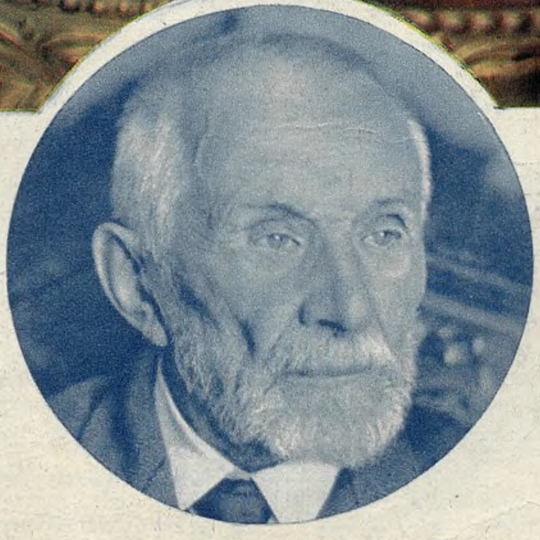
Kazimierz Buczkowski.



Bogini Cur-Dur-Namdzit, bóstwo długowieczności. Posążek z blachy mosiężnej, wyzłacany i polichromowany.

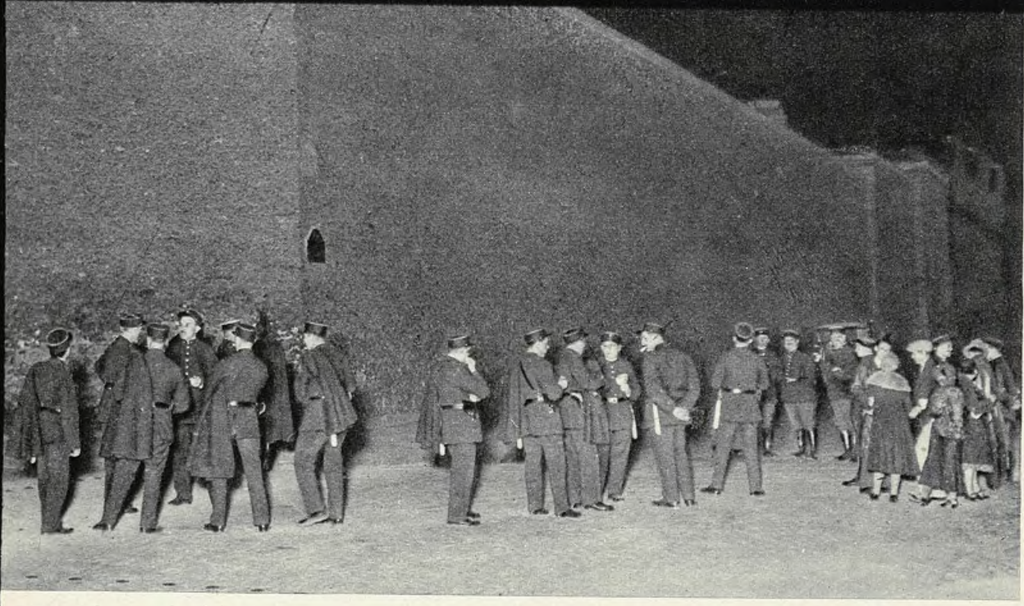
W lewej ręce bogini widoczne są haki do wyciągania grzeszników z piekła — w prawej zaś trzyma wątrobę, serce i śledzionę.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWIDA".



Prof. Dr. Juljan Talko Hryncewicz, ofiarodawca kolekcji objektów sztuki chińskiej i japońskiej dla Muzeum Narodowego w Krakowie.

GORGUŁOW ZGILOTYNOWANY.



Policja otacza już w nocy miejsce na bulwarze, gdzie ustawiona była gilotyna.
Fot. Meurisse — Paris.



Kat Deibler bada skrupulatnie gilotynę przed egzekucją Gorgułowa.
Fot. Wide World.

(*Korespondencja własna „Światowida“*).

Paryż, we wrześniu.

Jutro egzekucja Gorgułowa!

Dramat, którego akt pierwszy rozegrał się w tragicznym dla Francji dniu 6-go maja, ostatnim dniu życia prez. Pawła Doumera, dobiegł do końca przez ponury epilog na bulwarze Arago. Ostrze gilotyny oddzieliło niechybnem cięciem szaloną głowę anarchisty o chorym mózgu pijaka i luetyka od kadłuba i rąk jego, które nie zadrżały, gdy z browninga padały strzały, skierowane do niewinnego starca w Pałacu Rotszyldów podczas otwarcia wystawy książek byłych uczestników wojny światowej, mordercę dla „prezydenta o kamiennej twarzy“, tylko dlatego, że był on najwyższym dostojnikiem Rzeczypospolitej francuskiej.

Zbrodniarz czy warjat? Anarchista, czy szaleniec? Rosjanin „biały“, czy „czerwony“? Oto dylematy, jakie starał się rozwiązać trzydniowy proces czerwcowy w Pałacu Sprawiedliwości. Wydawało się, że powiedziano o Gorgułowie już wszystko i że ponury ten typ aż nadto wyraźnie stanął na oczach sędziów z całą swoją przeszłością kata czerezwyczajki, zdegenerowanego lekarza, chorobliwie ambitnego grafomana...

A jednak nie. Gorgułow pozostał zagadką. Za dużo powiedziano o nim. Zeznania sprzeczały się z sobą. Najoczywistsze było uznać go za nienormalnego, za chorego umysłowo. Ale to obroniłoby go przed gilotyną. A przecież tragiczna śmierć przez cały naród szanowanego i kochanego prezydenta w pierwszym roku jego septanatu musiała być pomszczona.

Dlatego odrzucono kasację, wniesioną przez obrońców Gorgułowa po wyroku, prawie jednogłośnym „winien... na śmierć“ i dlatego na bulwarzeArago o kilkanaście kroków od więzienia, w którem przebywał, ustawiono gilotynę.

Jeszcze w przeddzień egzekucji prasa paryska pisała, że „ścięcie Gorgułowa wydaje się być bliskie“. Sprawiedliwość zachowywała tajemnicę jaknajściślejszą, ażeby uniknąć natłoku przy wykonaniu wyroku, co według konstytucji odbywać się ma na miejscu publicznem. Mimo tego jednak wielkie tłumy zgromadziły się na bulwarze. Kat Deibler z pomocnikami ustawił gilotynę na krótko przed egzekucją. Silne kordony policji zatrzymały publiczność o kilkaset metrów od miejsca stracenia.

Zbudzony ze snu Gorgułow wyspowiadał się popowi, wypił tradycyjną szklankę rumu i spokojnie udał się na szafot. Adwokat Geraud uściskał go i oddał w ręce kata. Już na szafocie Gorgułow wypił drugą szklankę rumu i nie przyjął zaofiarowanego mu papierosa. Zwróciwszy się do jednego z pomocników kata poprosił go, by powiedział jego żonie, że ją bardzo kocha. Następnie wyciągnąwszy ręce zawołał głośno:

— Przebacz mi, świecie! Niech żyje Rosja!



Paweł Gorgułow.



Wczesnym rankiem tłumy ciekawej publiczności paryskiej przybyły na miejsce stracenia.
Fot. Keystone.



Obrońcy Gorgułowa, adwokaci Henryk Geraud i Marcel Roger zdążają w samochodzie na miejsce kaźni.
Fot. Wide World.

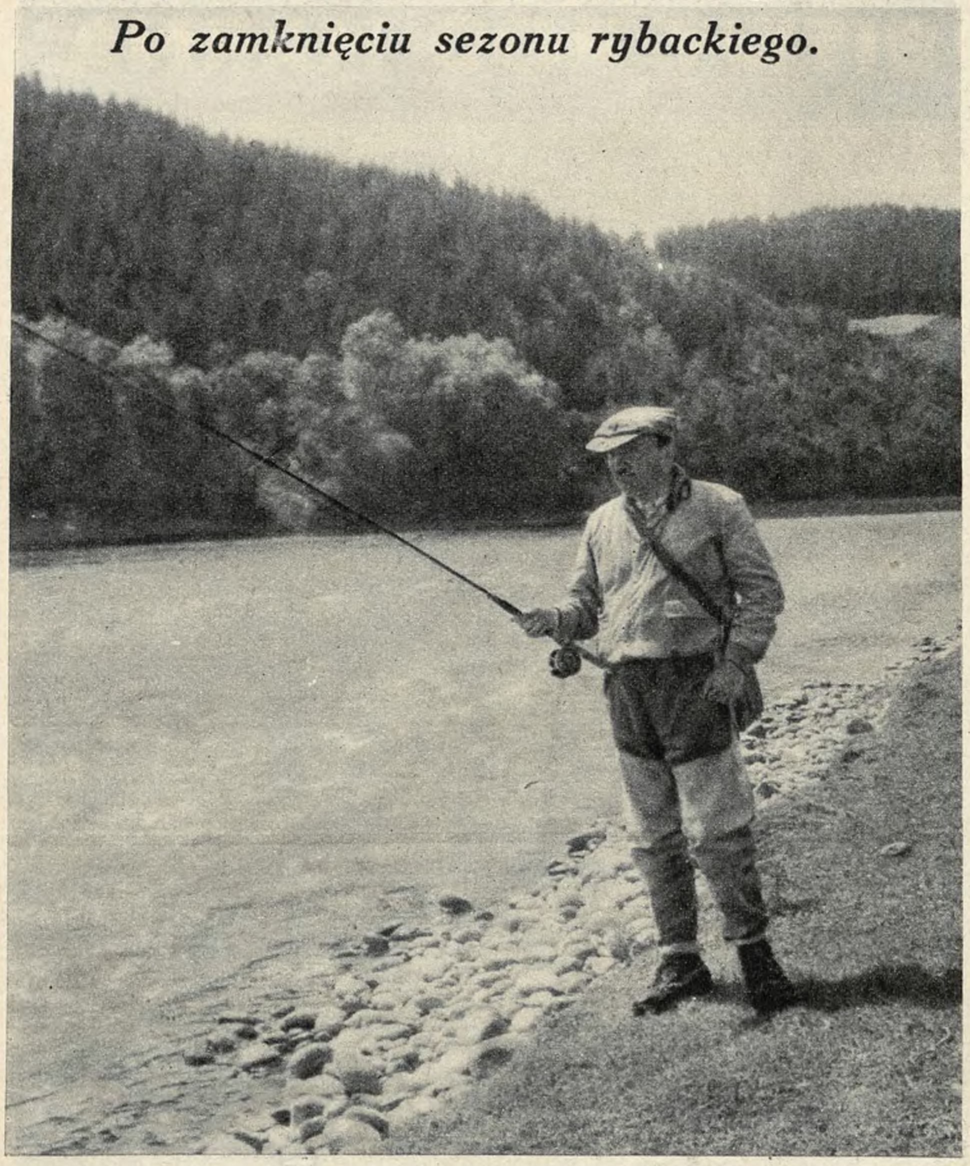
Spokojnie położył głowę na ramę gilotyny. W sekundę później już nie żył.

Zginął morderca prezydenta Francji. Parę minut przed godziną 6-tą rano w srebrzystej mgle poranku wracałem bulwarem Arago wśród tłumów ludzkich. Wszyscy milczeli.

Ent.

DAĆ GO NA LÓD!

Po zamknięciu sezonu rybackiego.



Ryba zupełnie nie brała...

Zeszłej jesieni, kiedy od września do listopada lało, mieliśmy my rybacy miny rozpromienione. No, nareszcie, myśleliśmy sobie, deszcze wyrównają jakoś katastrofalny deficyt, jaki od kilku lat daje się obserwować w wodostanie Dunajca i będzie sobie można dobrze połowić.

Ryby bowiem różnią się tem od ludzi, że „biorą" tylko w zimnej i dużej wodzie, a nie... przy każdej sposobności, tak, jak ludzie.

Zima jeszcze bardziej umocniła nasze nadzieje. Śniegi bowiem spadły, co się zowie, meteorolodzy zaś zapowiadali wczesną wiosnę i mokre lato.

Brawo!

Nareszcie przyszedł upragniony marzec. Zazieleniła się trawka, zaświergotały w powietrzu ptaszki, a świeżo sprowadzone z Anglji muchy połyskiwały w portfelu, niczem najpiękniejsze kolibry. Dnia 17-go kwietnia po raz pierwszy w tym roku zrobiłem wyprawę rybacką do Nowego Targu. Po trzechgodzinnej drodze, pełnej wybojów, dobiliśmy nareszcie na Kowaniec, gdzie znajduje się nasze schronisko, ze złamanym resorem i roztrzęsionemi bebechami, ale mimo to najszczęśliwsi w świecie.

Gdy po raz pierwszy z wiosną idzie się nad wodę, niema się zbyt wielkich aspiracyj. Człek zadowalnia się nawet najpodlejszym pstrągiem, dlatego, bo to pierwszy. A wszystko co jest pierwsze, z pierwszą miłością i pierwszym miesiąca włącznie, jest takie miłe i kochane.

Toteż powróciwszy do naszej Teklusi — tak się nazywa gospodyni schroniska Polskiego Tow. Wędkarskiego — z dwoma pstrągami, mieliśmy tak zadowolone miny, ja i mój towarzysz, jakby nam kto sprolongował weksle.

W kilka tygodni później znalazłem się w Czorsztynie. Upał panował niesłychany tak, że przemęczywszy się na prądach do południa, co rychlej pospieszyłem na obiad do Sperlinga ,spocony jak mysz.

Naturalnie z pustą torbą. I kiedy sobie tak siedziałem na werandzie, popijając wodę mineralną, nagle w drzwiach ukazał się wspaniały rybak. Ubrany był w śnieżno białe wodery i zielonkawą wiatrówkę. Na jego siwych włosach spoczywała czerwona mycka. Na szlachetnej twarzy, opalonej na bronz, malowała się powaga i dostojność. Nie wątpiłem ani chwili, że to Anglik.

— No, nareszcie — pomyślałem sobie — propaganda zrobiła swoje. Anglicy dowiedzieli się o naszych doskonałych łowiskach na Dunajcu i przybywają do nas na łososie, przywożąc funty.

Jeszcze milej uderzyło mnie, że Anglik ten nauczył się już po polsku. Całkiem bowiem poprawną polszczyzną zawołał, obracając się do gospodarza:

—Dać go na lód!!!

O psiakulka, ani chybi, złapał łososia i teraz każe go dać na lód.

W tej chwili, jakby z pod ziemi, wyrósł przedemną najmilszy z miłych, artysta malarz Jasio R., ostatni przedstawiciel cyganerji malarskiej i świetny odtwórca piękności Czorsztyna, Maluje go od rana do nocy i podobno dobrze na tem wychodzi.

Wdałem się z Jasiem w pogawędkę. Tym razem jednak na jego zwykle wesołej twarzy malował się jakiś grymas niezadowolenia.

— Źle jest — burknął — kryzys dobiera się i do malarzy. Coraz trudniej obraz sprzedać, dochody małe, musi więc człek na wszystkiem oszczędzać.

— Ejże?

— No tak. Naprzykład kieliszek wódki kosztuje 80 groszy, któż sobie może na to pozwolić?

— No rzeczywiście.

— To też ja przestałem już zupełnie pić.... na kieliszki i teraz wódkę kupuję tylko na flaszki. Na tem się bardzo dużo oszczędza.

Zbudowany tą oszczędnościąi ja kropnąłem sobie kieliszek pejsachówki, a potem zagadnąłem cicho:

— Kto jest ten Anglik?

— To nie jest żaden Anglik, to jest Miarka. Nie znacie Miarczyńskiego z Krakowa, artysty z teatru Słowackiego.

— No, jakże nie! Ale nie poznałem go w tym kostjumie rybackim.

— Słyszałem, że złowił łososia, bo mówił: dać go na lód.

— To nie łosoś, to pstrąg, jak palec. Ale czy na taki upał można co więcej złowić?

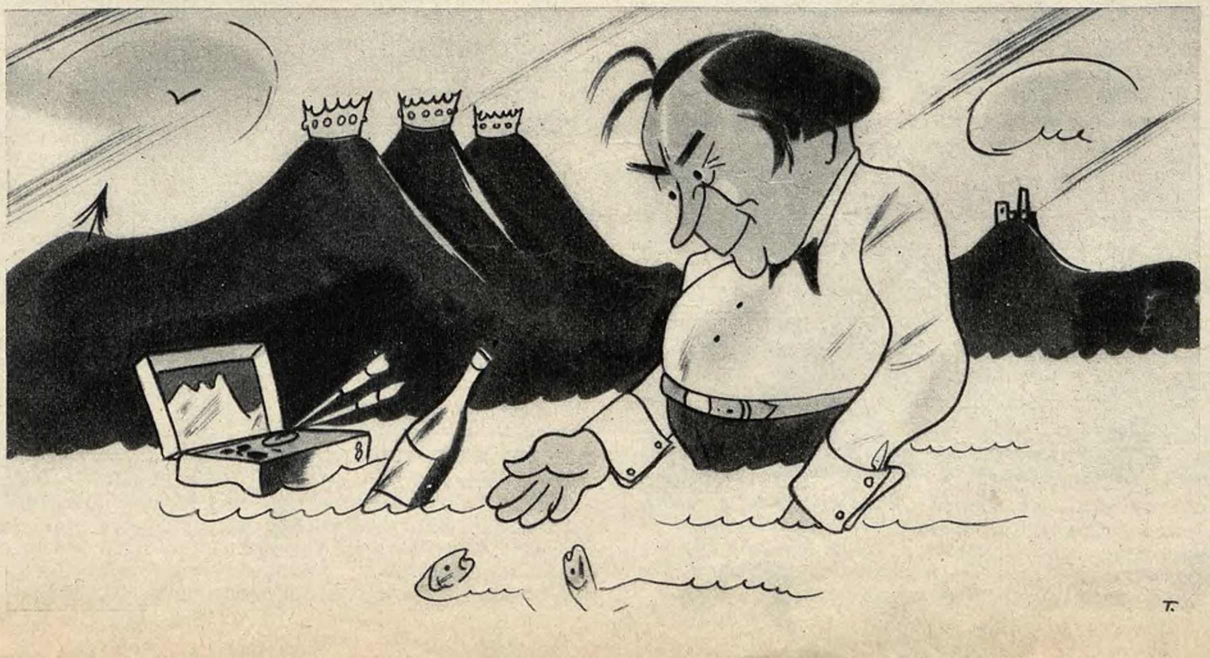
— Rzeczywiście nie.

Panujące przez dwa miesiące upały zepsuły sezon do reszty.

Łowiło się po pstrągu, albo po dwa. Raz, gdy po całodziennej włóczędze wróciłem do schroniska z dwoma pstrągami i użaliłem się na to przed towarzyszami, kazano mi stawiać szampana.

— Za co?

— A bo pan jest królem dzisiejszych łowów. Ani ja bowiem, ani prezes nie złowiliśmy nic, odparł towarzysz dr. W., którego z trudem udało mi się wyciągnąć na ryby.



A teraz już jest po 15-tym września. Ani pstrągów, ani łososi łowić nie wolno. Za to można sobie używać na lipieniach. Trzeba więc wędkę powiesić na kołku i czekać znowu wiosny.

Za to na drugi rok biada Sperlingowi, jeśli nie zaopatrzy się w kilka fur lodu. Ja i Miarczyński mamy bowiem nielada aspiracje. Chcemy w kwietniu złowić po kiełbiu i dać go na lód. Bo jak tak dalej pójdzie, to pstrągi przejdą do historji.

Jan Lankau.

PRZED NOWEMI WYBORAMI W NIEMCZECH.



Kanclerz von Pappen udaje się na posiedzenie Reichstagu. Za nim kroczy sekretarz stanu von Plack.

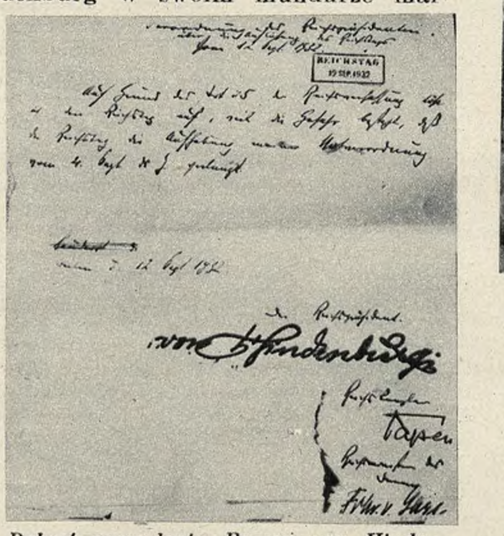
Dnia 12-go sierpnia zakończył swój krótki żywot parlament Rzeszy niemieckiej. Został bowiem dekretem Prez. Hindenburga rozwiązany, zdoławszy jeszcze niemal w ostatnim momencie wyrazić olbrzymią większością głosów votum nieufności Papenowi. Nowe wybory odbędą się za trzy miesiące. Będą one dalszym etapem walki pomiędzy Hindenburgiem a Hitlerem. W walce teej nie chodzi o względy programowe, gdyż obie te osobistości reprezentują skrajny nacjonalizm, politykę odwetu i nieposzanowania traktatu wersalskiego, ale o moment czysto osobisty.

I Hitler i Hindenburg chcą rządzić po dyktatorsku. Pierwszy przy pomocy swoich bojówek, drugi przy pomocy Reichswehry, organizacji byłych żołnierzy frontowych, policji no i całego aparatu państwowego, który ma w swoich rękach. Wszystko wskazuje na to, że jak długo żyje Hindenburg, niema w Niemczech siły, któraby go zdołała obalić. Parlament może jego przedstawicielowi uchwalać sto razy votum nieufności, na zgromadzeniach ludowych mogą na niego wygadywać niestworzone rzeczy agitatorzy, zarówno z pod znaku Hitlera jaki Klary Zetkin, zyskując nawet poklask zgromadzonych, a pomimo to, gdy na ulicach Berlina pojawi się opromieniony legendą wojenną Hindenburg w swoim mundurze marszałkowskim i przy dźwiękach hymnu „Deutschland, Deutschland über alles“ przejdzie przed frontem kompanji, gdy tłumy zobaczą jego dobrze znane oblicze, rozrzewnienie i entuzjazm ogarnia je, tak, że skoczyłyby za nim w piekło. Wszyscy zdają sobie bowiem sobie sprawę, że Hindenburg może się mylić, może błądzić, ale, że wszystkie jego poczynania nacechowane są troską o dobro państwa, dla którego poświęcił on 68 lat uczciwej i wiernej służby.

I to jest powód, dla którego Hitler wygrywając wszystkie wybory, przegrywa jednak przy każdej rozgrywce z Hindenburgiem i, mając z każdym dniem więcej posłów, jest coraz dalej od władzy.

Nowe wybory nie wzbudziły zbytniego entuzjazmu ani w partjach, ani wśród ogółu wyborców, zmęczonych ustawicznem głosowaniem, które nie daje żadnego rezultatu. Zresztą bądźmy cierpliwi. Sytuacja wyjaśni się za trzy miesiące, albo... jeszcze bardziej się zaciemni.

J. L.

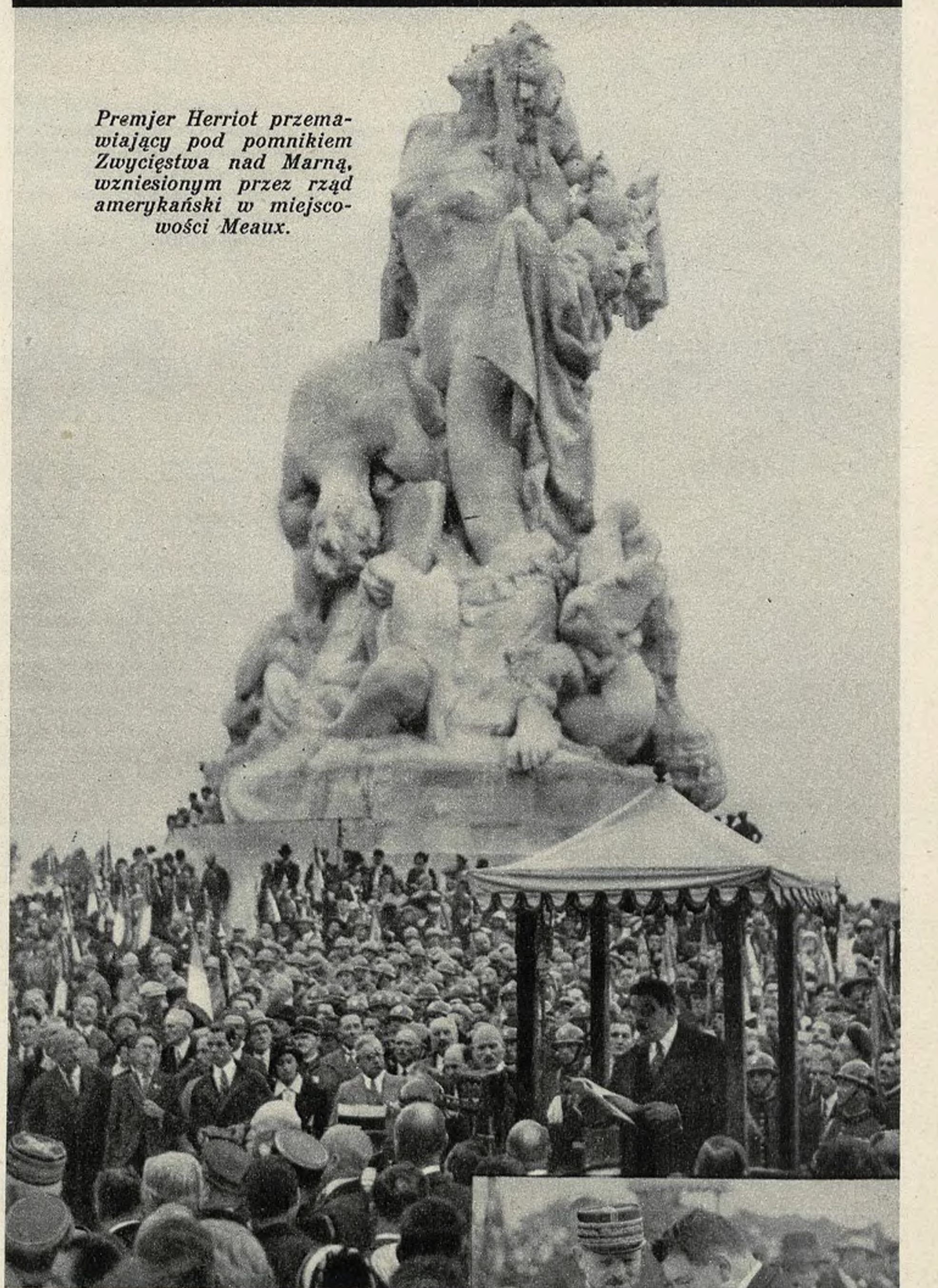


Dekret prezydenta Rzeszy von Hindenburga, zarządzający rozwiązanie Reichstagu. Był on wystawiony i bianco jeszcze w Neudeck, gdzie prezydent przebywał na wywczasach letnich, w ostatniej chwili Neudeck przekreślono i napisano Berlin.



Historyczne posiedzenie parlamentu niemieckiego. Fotografja przedstawia moment, gdy kanclerz v. Pappen (w ławie rządowej na lewo), stojąc, domaga się głosu od prez. Göhringa, aby odczytac dekret o rozwiązaniu Reichstagu. Głosu tego von Pappen nie otrzymał, poczem odbyło się głosowanie nad wnioskiem o votum nieufności dla rządu, który olbrzymią większością został uchwalony.

W 18-TĄ ROCZNICĘ BITWY POD MARNĄ.



Premjer Herriot przemawiający pod pomnikiem Zwycięstwa nad Marną, wzniesionym przez rząd amerykański w miejscowości Meaux.

Osiemnaście lat temu umilkły nad Marną armaty i do odpoczynku zwyciężonych złożyli broń żołnierze Francji. Rocznicę klęski tej Francja co rok obchodziła uroczyście, obecnie jednak uroczystości 18-lecia Marny, obchodzone w ubiegłym tygodniu, stały się potężną manifestacją przyjaźni francusko-amerykańskiej i prawdziwie dobrej woli Francji w sprawie pokoju i rozbrojenia.

Na polu, gdzie 18 lat temu nieprzeliczeni ranni i zabici podpisywali własną krwią prośbę do ludzkości o pokój, sygnowaną chwilowem zwycięstwem sprawców i barbarzyńców wielkiej wojny, padały obecnie słowa najwyższych przedstawicieli Francji i delegatów Stanów Zjednoczonych, słowa podkreślające konieczność utrzymania tak krwawo uzyskanego pokoju.



Gen. Weygand, szef sztabu armji francuskiej w rozmowie z Herriotem.

Uroczystość 18-lecia Marny przybrała formy tak uroczyste i potężne ze względu na wielki gest Stanów Zjednoczonych, które ofiarowały Francji wspaniały pomnik, przedstawiający Francję zranioną, ale zwycięską, Francję spartańską, zdecydowaną na wszystkie ofiary w obronie przed najeźdźcą, Francję, bohaterską rękojmię pokoju. Pomnik ten wykonał wielki artysta, były wychowanek paryskiej akademji, Fryderyk Mac Monnies. Na cokole pomnika, oprócz dat okolicznościowych, wyryto historyczny rozkaz Joffre'a, którego treść brzmi w naszej współczesności jak najwspanialsze echo Sparty:

„Nadeszła godzina, w której nie można oglądać się za siebie... Każdy oddział, który nie może postępować naprzód, powinien sam zadać sobie śmierć...“

Bohaterstwo Francji na odcinku nadmarneńskim było zadziwiające i skłaniało nawet Niemców do wyrażania entuzjastycznego podziwu. Generał Ludendorff pisał w raporcie do Wilhelma, że podobnego bohaterstwa, podobnej mocy wytrwania nie widział nigdy w swej armji. „Tych rzeczy nie można nauczyć się w szkołach wojskowych Niemiec. Rzeczy te mylą kalkulację nawet najwięcej drobiazgową“.

Z prez. Lebrun na czele cała Francja, a przez ambasadora Waltera Edge Stany Zjednoczone uczciły to bohaterstwo pod pomnikiem Francji zranionej a zwycięskiej, wyrażając w podziwie dla bohaterów życzenie, ażeby w powszechnym pokoju świata już nigdy nie było potrzeby wznoszenia pomników podobnych ku upamiętnieniu bohaterskich epizodów okrutnej masakry ludzkości.

(zet.)

ŚLUB W KATEDRZE WAWELSKIEJ

KS. CECYLJI LUBOMIRSKIEJ Z KS. GABRJELEM DE BOURBON PARMA.



Ks. Kazimiera Lubomirska, matka panny młodej, w towarzystwie infanta Don Carlosa de Bourbon Sicile, szwagra byłego króla hiszpańskiego Alfonsa XIII., opuszcza Katedrę Wawelską.

Zdjęcia Ag. Fot. „Światowida".

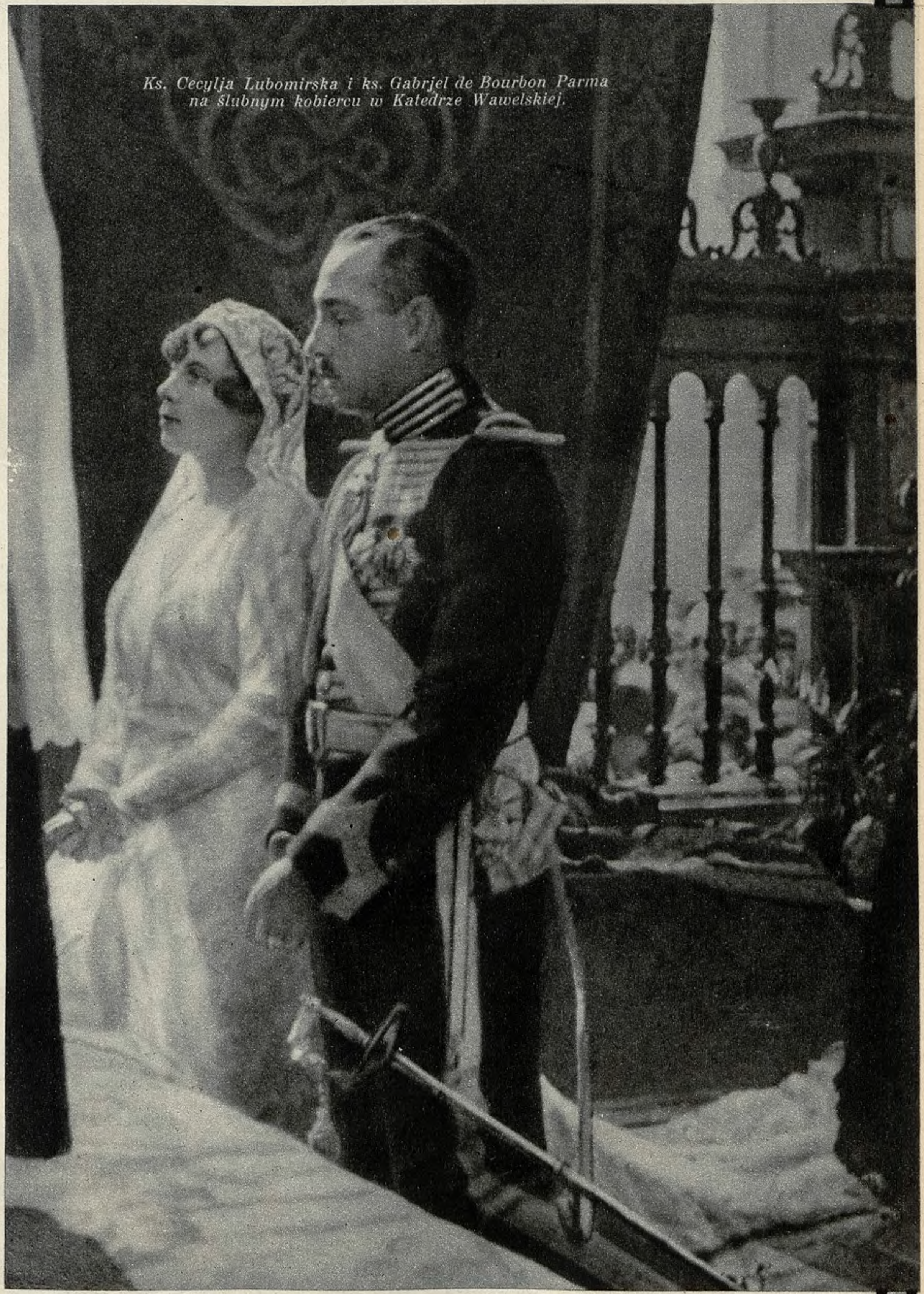


Ks. Karolina de Bourbon Parma, matka pana młodego i ks. Henryk Lubomirski z Warszawy.

„W dzisiejszych demokratycznych czasach..." itd... Oficjalnie niema już baronów, książąt, hrabiów. Każdy jest poprostu tylko „pan". Ewentualnie „wielmożny pan". Pisanie „jaśnie wielmożny" to już nieraz obecnie nie uchodzi. Równi z równymi...

Takie jest życie obecne. Oficjalnie. Bo nieoficjalnie w świecie arystokracji nie zmieniło się nic. T. zw. stare rody prowadziły zawsze życie zamknięte w granicach swojej kasty i obecnie prowadzą życie identyczne, bo chociaż przez warunki dzisiejsze niejednokrotnie są zmuszone do bezpośredcia demokracji. I wtedy jest to jak widowisko... Zdarza się to rzadko. Europa ma możność wytrzeszczania oczu na orszak przedstawicieli starych rodów, wyszłych z za murów swej kasty na ulice zaledwie kilka razy do roku. W ostatnich tygodniach wrażenia takie, złączone zresztą z pewnemi osobami współdziałającemi, przeżył Mödling i Kraków.

W Mödlingu w skromnym kościele parafjalnym przy sposobności chrztu młodego Habsburga-Lothringen, syna arcyksięcia Antoniego Habsburga i rumuńskiej księż-



Ks. Cecylja Lubomirska i ks. Gabrjel de Bourbon Parma na ślubnym kobiercu w Katedrze Wawelskiej.

niego stykania się z „plebsem" urzędników, rozmaitych funkcjonarjuszy, nawet... komorników, to jednak odcinają się one poza tem od całokształtu współczesnego życia.

Nietylko u nas. Są państwa, w których demokracja już znacznie dawniej wydrążyła swoją prostą drogę przez społeczeństwo, gdzie jednak fakt ten jest niezmieniony i świat arystokratyczny jest równie odgraniczony i równie zakonserwowany w rytmie przeszłości jak u nas. W takiej Francji naprzykład. I czasem tylko, przy sposobności jakichś nadzwyczajnych wydarzeń, manifestuje zamknięty klan arystokratyczny swoje istnienie rzucone na tło normalnego życniczki Ileany odbył się olbrzymi zjazd, jakby fragment przypomniany z niepowrotnej już przeszłości, dawnych luminarzy państwowych z ekskrólem hiszpańskim Alfonsem XIII na czele i z całym orszakiem przedstawicieli starej arystokracji. — A w Krakowie odbył się podobny zjazd arystokracji polskiej, hiszpańskiej i francuskiej z racji ślubu Gabrjela ks. de Bourbon-Parma z Cecylją ks. Lubomirską.

Cała uroczystość ślubna, która odbyła się w wspaniałych ramach wawelskich, była czemś dzisiaj już nieoglądanem, czemś zupełnie niespodziewanem. Dla demokracji

(Ciąg dalszy na stronie 8-mej).

KSIĄŻĘCE GODY W KRAKOWIE.





Orszak ślubny opuszcza Katedrę na Wawelu. Widoczni: Franciszkowa hr. Potocka, ks. Adam Sapieha, hr. Mycielski, Władysław hr. Tarnowski, Xawery hr. Pusłowski i inni.



Stefanowa hr. Zamoyska z Gołuchowa, hr. Mycielski z Łuczanowic, Benedykt hr. Tyszkiewicz i ks. Adam Sapieha w orszaku ślubnym.

Ks. Cecylja Lubomirska w towarzystwie ks. Henryka Lubomirskiego udaje się do Katedry Wawelskiej.



Uroczyste nabożeństwo w Katedrze Wawelskiej, celebrowane przez metropolitę ks. Adama Sapiehę.



Ks. Luiza d'Orleans Braganca i arcyksiążę Leon Habsburg z Żywca, za nimi hr. Tyszkiewiczowa i ks. Piotr Henryk d'Orleans Braganca wychodzą z Katedry.

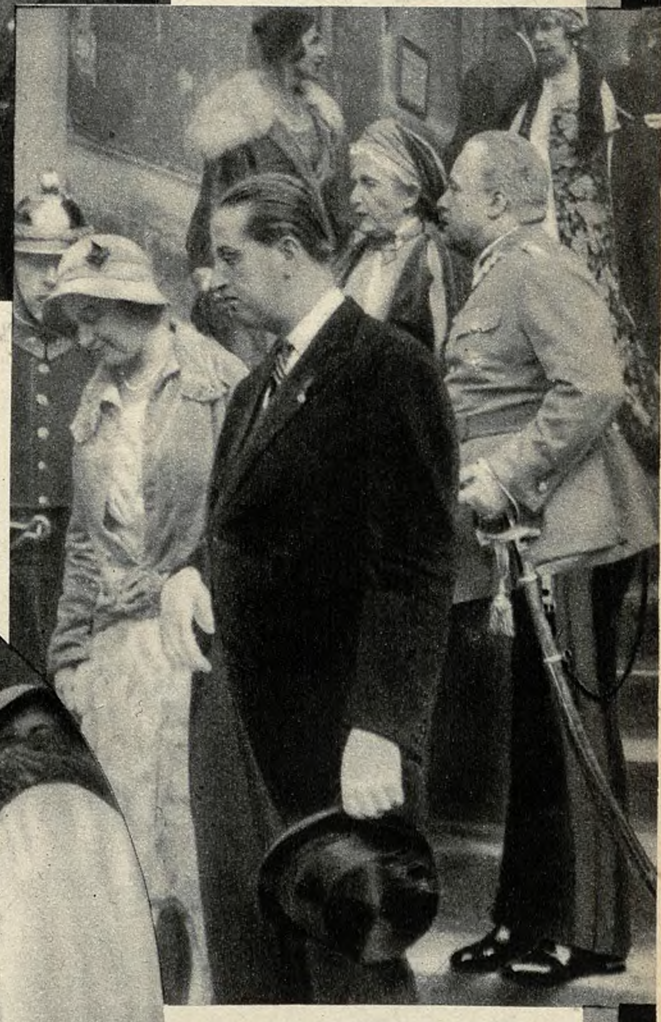


Andrzejowa hr. Potocka z Krzeszowic, żona b. namiestnika Galicji, w rozmowie z Alfredem hr. Potockim. ordynatem na Łańcucie.

Zdjęcia Ag. Fot. „Światowida".



Część orszaku ślubnego. Od lewej: Infantka Luiza, ks. Zdzisław Lubomirski, Roman ks. Sanguszko, Infantka Maria, hr. Krasicki i ks. Karol de Bourbon, syn Infanta don Carlosa.



Po ślubie na stopniach Katedry stoją od lewej: hr. Zamoyska, Jan hr. Zamoyski, ks. Pawłowa Sapieżyna, Andrzejowa hr. Potocka z Krzeszowic, Władysław ks. Radziwiłł i Franciszkowa hr. Potocka.



Infantka Maria w towarzystwie ks. Olgierda Czartoryskiego.

Ciąg dalszy ze str. 7-ej.

naszych czasów było to widowisko niezwykłe. — Brał ślub ks. Gabrjel de Bourbon-Parma, syn pretendenta do korony neapolitańskiej hr. Caserty, potomka królów obojga Sycylji, pochodzący z linji królów Sycylji dynastji neapolitańskiej, z ks. Cecylją Lubomirską, córką ks. Kazimierza, przedstawiciela jednego z najstarszych polskich rodów. Kraków już do wielu tygodni, odkąd ukazały się pierwsze zapowiedzi tej ceremonji, wyczekiwał jej z niecierpliwością dziecka, któremu obiecano, że pójdzie do kina. Oczekiwał z tem większą ciekawością, że na ślub ten zapowiedział swój przyjazd ekskról Alfons XIII. Wskutek jednak niemiłego zdarzenia z planowanym zamachem na niego, któremu zapobiegła policja, Alfons XIII stracił humor i ochotę do pokazania się w niepewnym i zupełnie mu egzotycznym Krakowie. Delegował jednak na ślub wawelski Infanta Don Alfonso i Infanta Don Carlosa. Poza nimi przybyło jeszcze wielu przedstawicieli królewskich rodów, a więc w pierwszym rzędzie ks. Karolina de Bourbon-Parma, matka pana młodego, Infant Don Carlos starszy z rodziną, ks. Luiza d'Orleans Braganca z synem ks. Piotrem Henrykiem, oraz dwie Infantki Marja i Luiza; przybył także arcyksiążę Leon Habsburg z Żywca.

Pan młody zamieszkał w pałacu ks. Lubomirskich przy ul. św. Jana. Wszyscy Bourboni zamieszkali w Grand Hotelu, który ugościł także większość gości z arystokracji polskiej. Część z nich zamieszkała w Hotelu Francuskim. Przybyli do Krakowa ks. Olgierd Czartoryski z Krotoszyna, ordynat na Łańcucie Alfred hr. Potocki, ks. Adamostwo Sapiehowie z Bobków, hr. Michałowa oraz hr. Feliks i Władysław Sobańscy z Warszawy, hr. Andrzejowa Potocka z Krzeszowic z córką, hr. Benedykt Tyszkiewicz, ks. Jerzy Radziwiłł z Czekanowa, Leokadja hr. Orłowska z córką z Paryża, hr. Jan Zamoyski z siostrą ze Spiża, hr. Andrzejowa i hr. Stefanowa Zamoyskie, ks. Roman Sanguszko z Gumnisk, hr. Stefan Brzozowski z Warszawy, hr. Rejnold Przeździecki, szef protokołu dyplomatycznego M. S. Z. i radca M. S. Z. Lipski, hr. Edward Krasiński z Warszawy, z Krakowa zaś uczestniczyli w uroczystościach ks. Czartoryscy, hr. Potoccy, hr. Pusłowscy i wielu innych przedstawicieli arystokracji krakowskiej.

Przed godziną 11-tą, na którą naznaczony był ślub, zaczęły przed katedrę zajeżdżać wytworne limuzyny. Uformował się wspaniały orszak ślubny, który wszedł do katedry głównem wejściem. Przed wielkim ołtarzem, tonącym w światłach, kwiatach i zieleni, odprawił mszę św. i udzielił sakramentu małżeństwa arcybiskup książę Adam Sapieha w otoczeniu licznego duchowieństwa.

Stroje gości były przeważnie wspaniałe. Panna młoda przybrana była w piękną szatę z brabanckich koronek, z welonem na głowie. Pan młody zaś był w paradnym mundurze z czerwonego sukna ze złotemi szamerunkami, na którego tle jaśniała wielka wstęga orderu Annunciaty, oraz gwiazda bryiantowa i order Złotego Runa. Wszyscy goście ślubni przybrani byli w tualety, futra i wytworne stroje wizytowe; kilku przybrało piękne kontusze staropolskie.

Poza powyżej wymienionymi gośćmi uroczystości ślubnej do Krakowa w tym czasie zjechali liczni przedstawiciele podkrakowskiego ziemiaństwa, hr. Szembekowie, bar. Konopkowie i wielu innych.

Nie potrzeba dodawać, że przed katedrą i na drodze do niej wiodącej na wzgórzu wawelskiem od strony Pl. Bernardynów oraz w samej katedrze, do której jednak wstęp był utrudniony, zebrały się olbrzymie rzesze publiczności, przyglądające się chciwie korowodowi barwnych, strojnych i wytwornych postaci Bourbonów, Habsburgów i przedstawicieli najstarszych rodów polskich. Widać było, że patrzą na tych ludzi bez żadnych innych wzruszeń, jak tylko z ciekawością. Jedynie inne uczucia wywołały wspaniałe polskie postaci w kontuszach, a szczególniej ks. Olgierd Czartoryski w wspaniałej delji barwy jasno-kremowej z bobrowem futrem, który wyglądał jakby wyszedł z ram matejkowskiego obrazu.

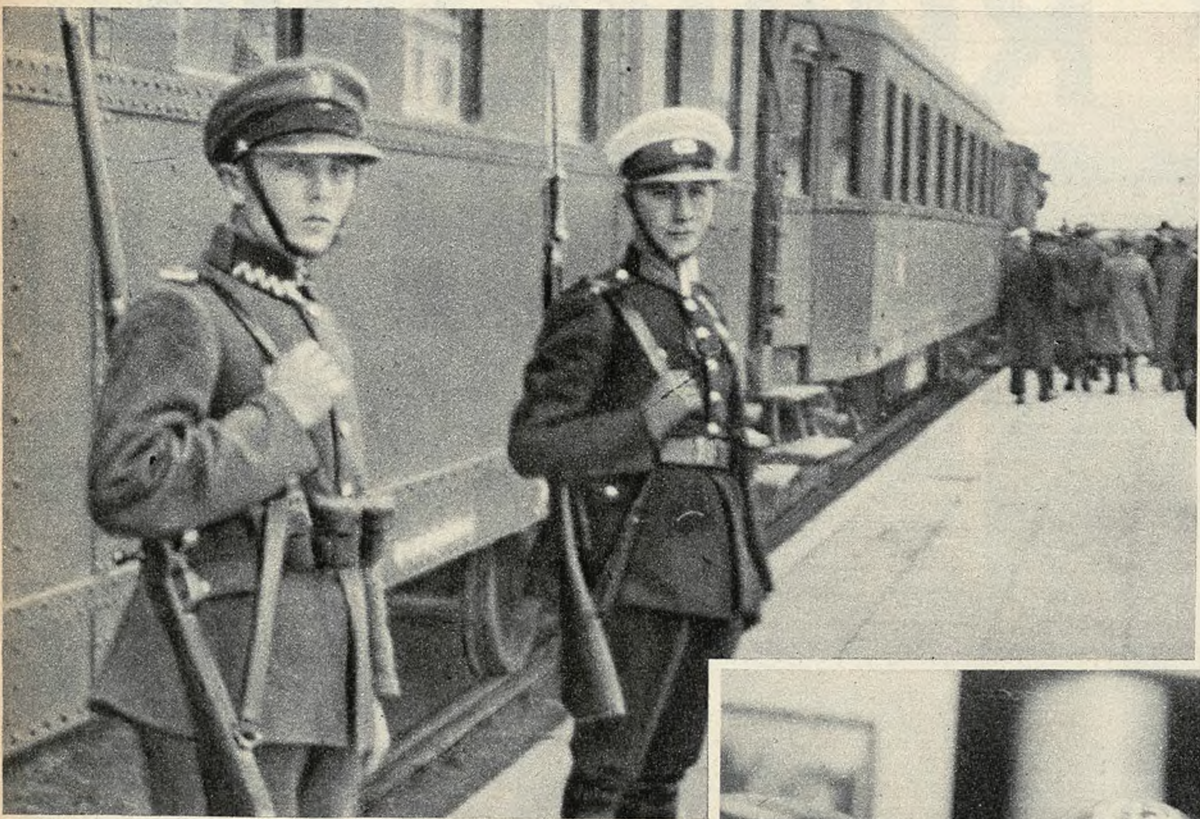
Po ceremonji ślubnej rząd błyszczących limuzyn opuścił górę wawelską i przemknąwszy przez ulice krakowskie i Rynek Główny, napełnił ulicę św. Jana i Pijarską. W pałacu bowiem ks. Lubomirskich odbyła się uczta weselna.

Wpatrzone w okna, za któremi przesuwały się tak egzotyczne dla naszych czasów postaci, stały na cichej zazwyczaj ulicy tłumy, łowiąc dochodzące z za ścian pałacu dźwięki muzyki...

W ten sposób w tym dniu wrześniowym Kraków był świadkiem rzadkiej manifestacji arystokratycznej w pięknych i dostojnych ramach, jakiej z pewnością długo znów oglądać nie będzie.

Zet.

NA OJCZYZNY ŁONO.



W ubiegły czwartek odbyła się w Stołpcach wymiana więźniów politycznych pomiędzy Polską a Sowietami. Na zdjęciu wagon z komunistami, pilnowany przez policję.

W ubiegłą środę z pociągu sowieckiego, który o godzinie 1-ej zatrzymał się na stacji w Stołpcach, wysunęły się zbiedzone postacie, kobiety w chustkach na głowie, mężczyźni w kaszkietach i wynędzniałe dzieci. To repatrjanci i więźniowie, którzy po latach katuszy powrócili nareszcie drogą wymiany na ojczyzny łono. Natychmiast otacza ich zwarte koło dziennikarzy i delegatów Polskiego Czerwonego Krzyża.

Zaczyna się rozmowa.

Repatrjanci jednak dają skąpe odpowiedzi, ciągle są jeszcze wystraszeni i apatyczni. Nie mają żadnych zainteresowań, przecież od tylu lat stracili kontakt z życiem i byli tylko bezwolnem narzędziem w obcych rękach. Wśród tej gromadki szczególnie miłe wrażenie robi starowina, ubrana licho. To matka księdza Antoniego Skalskiego. Ze wzruszeniem zasiada ona do stołu i bierze białą bułeczkę do ręki. Już dawno nie raczono jej tami przysmakami.

Odbija od wszystkich przyzwoitem ubraniem, energją i inicjatywą p. Anna Maciejowiczówna, która trzy i pół roku przesiedziała w więzieniu. Szlachtę zaściankową reprezentuje rodzina Weryków. Pochodzą z Andrzejowszczyzny.

Z szacunkiem pochylają się głowy obecnych przed kilku księżmi, twarze ich zarośnięte, ale z oczu promieniuje radość.

— Nie potrafimy opisać tej chwili, mówi ksiądz Fedorowicz, gdy pociąg ruszył nareszcie z ostatniej stacji sowieckiej i powoli przeszedł granicę. Płakaliśmy wszyscy w wagonie na widok pierwszego munduru polskiego.

W imieniu repatrjantów zabrał głos ksiądz Teofil Skalski. Szloch, który targał mu piersi nie pozwolił mu mówić.

Ale obecni domyślili się jego słów...

Stołpce przeżyły swój wielki dzień.



Janina Werychówna i jej brat, którzy powrócili z Rosji sowieckiej opowiadają na stacji w Stołpcach o tragicznym zgonie swego ojca, który przed dwoma tygodniami umarł w Leningradzie, dokąd został zesłany na roboty.



Tłumy publiczności witają na dworcu w Baranowicach naszych rodaków, którzy powrócili z Rosji sowieckiej. W oknie widoczny ks. Fedorowicz.

POŚWIĘCENIE SCHRONISKA PRZY PIĘCIU STAWACH.



Dnia 18-go b. m. odbyło się przy Pięciu Stawach w Tatrach uroczyste poświęcenie schroniska przy tłumnym udziale publiczności. Na zdjęciu moment Podniesienia w czasie Mszy Polowej, odprawionej przez księdza Humpolę, znakomitego taternika, przy ołtarzu sporządzonym z kosodrzewiny. W dali grupa od Krzyżnego po Zawrat.

W słoneczną niedzielę dnia 18-go września odbyło się w Dolinie Pięciu Stawów Polskich uroczyste poświęcenie schroniska Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Schronisko to zostało wzniesione przed czterema laty, na miejscu dawnego schroniska im. Zausznera. Nowe schronisko stojące na tak popularnym szlaku Hala Gąsienicowa — Morskie Oko, otrzymało miano znanego wielbiciela Tatr i turysty Leopolda Świerza, ojca wielkiego taternika prof. Mieczysława Świerza, który zginął śmiercią turysty na zachodniej ścianie Kościelca w roku 1929.

Po czterech latach istnienia nowe schronisko w Dolinie Pięciu Stawów rozszerzane i ulepszane w miarę postępu czasu, zostało poświęcone uroczyście staraniem oddziału zakopiańskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Ceremonji poświęcenia dokonał ksiądz Humpola, znakomity taternik, który dokonał szeregu wspaniałych przejść turystycznych w towarzystwie ś. p. M. Świerza, braci Sokołowskich itd. Msza polowa odprawiana na ołtarzu, zbudowanym z kosodrzewiny, była widokiem niecodziennym i pełnym nastroju. Z punktu, na którym wznosił się ołtarz, tj. z zielonej buli ponad schroniskiem roztacza się czarowny widok na łańcuch górski, poczynając od Wołoszyna przez Buczynowe Turnie, Kozie Wierchy, aż het ku Świnicy.

Oddział zakopiański P. T. T. z dyr. Tadeuszem Malickim na czele, był w ten dzień gospodarzem w schronisku w Dolinie Pięciu Stawów. Podejmowano gości obiadem, a potem odwożono ich autobusami do Zakopanego. Prawdziwą niespodziankę sprawili goście szkoccy, którzy przybyli do Zakopanego, prowadzeni przez attache prasowego ambasady w Londynie p. Franciszka Bauer-Czarnomskiego. Ubrani w kraciaste szkockie spódniczki, przyszli ci górale północni do braci górali z południa i poczuli się tak dobrze w atmo-

(Ciąg dalszy na stronie 12-tej).



Schronisko Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego przy Pięciu Stawach w Tatrach. Wybudowane w roku 1928, a obecnie poświęcone.



Ambasada polska w Londynie zorganizowała wycieczkę pisarzy szkockich do Polski. Dwaj uczestnicy tej wycieczki p. Compton Mackenzie, Lord Rektor Uniwersytetu w Glasgowie (po lewej) i znany dziennikarz p. Mac Laren (obok) udali się do Pięciu Stawów na poświęcenie schroniska i tak im się tam podobało, że po bratersku wycałowali się z góralami.



Muzykanci góralscy, którzy przygrywali gościom przybyłym na otwarcie schroniska.

POŚWIĘCENIE SCHRONISKA PRZY PIĘCIU STAWACH.

(Ciąg dalszy ze str. 11-tej).

sferze góralskich piosenek i gęśliczek, iż zgoła po polsku całowali się z dubeltówki z potomkami „harnasiów“ podhalańskich.

Dzień poświęcenia schroniska był niezwykle szczęśliwie dobrany ze względu na czarowną pogodę, która dopisuje tego roku zarówno w Tatrach, jak w całej Polsce w sposób zupełnie nieprawdopodobny. I ciągle zdaje się jeszcze, że ogół polski zamało wie o czarze jesieni tatrzańskiej, która nie da się porównać z żadną porą roku.

O uroku jesieni tatrzańskiej wiedzą dotychczas głównie zagorzali entuzjaści, którzy czekają niecierpliwie na minięcie pory letniej, zaznaczającej się w Tatrach tłumnemi przejściami szlaków tatrzańskich. Gdy z początkiem września odpływają letnicy z Zakopanego, wyludniają się schroniska, zaczyna się okres prawdziwie rajski dla nielicznych wybranych. W schroniskach turystycznych w Roztoce, Pięciu Stawach Polskich, w chacie Mühlmana w dolinie Koprowej, w schronisku przy Zielonym Stawie Kiezmarskim, w schronisku Tery'ego i innych punktach Tatr można spotkać o tej porze już tylko doświadczonych „wyrypiarzy“, obarczonych ciężkiemi worami, czekanami i linami. Osobnicy ci, przeważnie niegoleni i z butami o srogim wyglądzie, rozprawiają językiem niezrozumiałym dla laika. Padają tam takie słowa, jak: bula, trawers, komin, przewieszka, koń skalny, rynna itd.

Okres jesienny stanowi bowiem epokę bohaterską w taternictwie. Wtedy to wyruszają wprawne wygi górskie, aby zaatakować chyłkiem i potajemnie jakiś niezdobyty „problem“, albo jakąś dziewiczą ścianę. Ponieważ ilość nierozwiązanych problemów tarzańskich i niezdobytych ścian skurczyła się niesłychanie, więc też turyści idący po złote runo sukcesu skalnego, osłaniają swoje ruchy nieprzeniknioną tajemniczością. W dniach wrześniowych, nadających się cudownie do wycieczek z racji chłodu rannego, umożliwiającego niemęczące podejścia — padają największe „szlagiery“ tatrzańskie i kruszą się t. zw. aussery, a więc przejścia poza granicą ludzkiej możliwości (ausser Möglichkeit).

Ponieważ dzień jesienny jest już krótki, niema czasu na wyjeżdżanie z Zakopanego, ale trzeba już koniecznie utkwić na szereg dni w górach, aby jeszcze przy świetle dziennem dotrzeć do schroniska. Dlatego to wprawni turyści lokują się w tych schroniskach, które leżą blisko wielkich grup skalnych, kryjących w sobie jeszcze tajemnice problemów.

Dni wrześniowe w górach są dla turysty czemś niezapomnianem. Samotność i spokój, jakie roztaczają wtedy swe władanie nad skalnemi zrębami Tatr, stanowią najlepsze lekarstwo na wszelkie strapienia. Słońce jesienne padające z ukosa, wydobywa z zarysów skalnych całą misterną rzeźbę w pełnej plastyce. Jeziora tatrzańskie przybierają odblaski i kolory, jakich nadaremno szukać by trzeba w lecie.

Nietylko schroniska dają wtedy przytułek turystom, przezwyciężającym z kamiennym spokojem t. zw. „pendzle okrutne“ (długie podejście) i uciążliwe piętra dolin. W opustoszałych zasięgach piargów, w dolinach rzadko nawiedzanych przez ludzi, mieszkają wtedy tygodniami w t. zw. kolibach skalnych entuzjaści gór. Tryb życia tych oryginalnych ludzi jest bardzo prymitywny. — W olbrzymich workach noszą ze sobą całą spiżarnię, począwszy od jajek świeżych, zamkniętych w łuskach aluminjowych, a skończywszy na kompotach i zupach w cegiełkach. Własna „koch-maszyna“ jest podstawę bytu, a na noc włazi się do specyficznej odmiany łóżka, czyli do t. zw. „śpiworu“. Rankiem, kiedy na kamieniach połyskuje szron, rusza się na wyprawy, ażeby powrócić wieczorem i opowiadać przy ogniu o przejściach dnia.

Atmosfera, jaka panuje w tych dniach wrześniowych w schroniskach, nieda się z niczem porównać. Wieczory, kiedy lampa naftowa pełga mdłem światłem, przy stołach zawalonych menażkami, pudełkami z sardynek, kostkami „Maggi“ i suszonemi morelami, idą nieskończone rozmowy. Jedno wspomnienie nasuwa drugie, każdy stara się wydobyć ze swojej pamięci najbardziej interesujące momenty. W rozmowach tych przewijają się jakże często osoby zmarłe, uświęcone w mózgach taterników śmiercią na ścianach i zerwach.

Takiem schroniskiem o szczerej atmosferze turystycznej, jest w porze jesiennej schronisko w Pięciu Stawach Gąsienicowych, znane z gościnności dzierżawców. I nic dziwnego, jeżeli się zważy, że gospodarzem schroniska jest Jędruś Krzeptowski, znakomity polski narciarz, który w swoim czasie na Olimpjadzie w Chamonix odnosił sukcesy w biegu na 50 km. i że po jadalni krząta się urocza Zosia Stopkówna, polska mistrzyni narciarska, która tego roku razem z asem narciarskim i taternickim Bronkiem Czechem, dokonała fantastycznie trudnego wejścia ścianą wprost na galerję Gankową!

z. g.



Dolina Pięciu Stawów Polskich w Tatrach jest ograniczoną od północy Świnicą, Zawratem i Kozim Wierchem — od południa zaś Kotelnicą, Liptowskiemi Górami i Miedzianą. W dolinie tej leży Pięć Stawów, z tych największy Wielki, na wysokości 1669 metrów nad poziom morza. Obejmuje on 33 ha. powierzchni, a głębokość jego w pośrodku wynosi 78 metrów. Na zdjęciu zachód słońca nad Wielkim Stawem.



Widok na Siklawę, największy wodospad w Tatrach, przy przejściu z doliny Pięciu Stawów Polskich do doliny Roztoki. Woda tu spada z wysokości 64 metrów. Górny brzeg wodospadu zaczyna się na wysokości 1636 metrów nad poziom morza. Do Nowego Schroniska prowadzą z Zakopanego trzy drogi. Pierwsza przez Zawrat, najtrudniejsza, druga z Morskiego Oka przez Świstówkę (półtorej godziny drogi), a trzecia od Wodogrzmotów Mickiewicza, przez Dolinę Roztoki (dwie godziny drogi).



Nad Potokiem w Roztoce.

NA WODZIE I NA BIEŻNI.



JUBILEUSZ 40-LECIA O. W. S. K. W ub. niedzielę Oddział Wioślarski Sokoła w Krakowie obchodził uroczystość 40-ej rocznicy założenia klubu. — Uroczystość ta stała się manifestacją wioślarstwa w Krakowie, a wzięli w niej udział nietylko delegaci klubów wioślarskich z całej Polski, ale również reprezentacje kilkunastu gniazd Sokolich z Małopolski. Na uroczystości był również obecnym założyciel i pierwszy prezes O. W. S. K. Józef Rudnicki. Na zdjęciu widzimy zasłużonego jubilata na czele pochodu, wkraczającego na dziedziniec arkadowy na Wawelu.



MIĘDZYKLUBOWE REGATY KOBIECE W WARSZAWIE. Dnia 18-go b. m. odbyły się w stolicy międzyklubowe regaty kobiece przy licznym udziale osad przedewszystkiem stołecznych. Regaty te organizowane są rok rocznie przez wioślarki warszawskie i zbierają zwykle najsilniejszą konkurencję kobiecą z całej Polski. Na zdjęciu widzimy osadę Warszawskiego Klubu Wioślarek, zwycięską w biegu czwórek półwyścigowych. W pośrodku stoi sterniczka — mistrzyni Polski na jedynce p. J. Grabicka.



MECZ LEKKOATLETYCZNY ŚLĄSK-KRAKÓW-ŁÓDŹ. Odbył się w ubiegłą niedzielę w Krakowie i zakończył zwycięstwem Śląska, który zdobył 361 punktów. Drugie miejsce zajęła Łódź 195 punktów, a trzecie Kraków 191. Sensacją sportową dla Krakowa był start rekordzistki świata Wajsówny, która reprezentowała barwy Łodzi. Na zdjęciu zawodniczki, wypoczywające po biegu.



PRZEPŁYNĘŁA MORSKIE OKO. P. Julja Sandorska (na zdjęciu) przepłynęła Morskie Oko tam i z powrotem, przy temperaturze wody +6 C. P. Sandorska ma za sobą także rekord przepłynięcia Wielkiego Stawu w Dolinie Pięciu Stawów. Jest ona z pochodzenia Włoszką.

Z POLSKI.



Z TRAGEDJI BEZROBOTNYCH. Dn. 13-go b. m. bezrobotna Agnieszka Morysowa, zamieszkała w Lipinach na Śląsku, wybrała się nocą na pole, aby uzbierać sobie trochę ziemniaków dla dzieci. Właściciel pola niejaki Kowalik, zauważywszy kilka osób, kręcących się po kartoflisku, oddał do nich pięć strzałów rewolwerowych dla postrachu, z których jeden zabił Morysową. Kowalika aresztowano. Na zdjęciu mąż Morysowej w otoczeniu policji nad zwłokami swojej żony.



PERSKI MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH W POLSCE. W przejeździe do Genewy zatrzymał się w Warszawie, witany przez ministra Zaleskiego i wiceministra Becka, perski minister spraw zagranicznych Foroughi Khan (trzeci od lewej). Należy on do czołowych osobistości nowej Persji i napisał kilka rozpraw filozoficznych.





RAJD POŁUDNIOWO-ZACHODNIEJ POLSKI. Odbył się w ubiegłą sobotę i niedzielę. Szczególne zainteresowanie wywołało przewiezienie meldunku z Krakowa do Sącza aeroplanem, z Sącza do Nowego Targu autem, z Nowego Targu do Zakopanego aeroplanem i z Zakopanego do Nowego Targu motocyklem. Jako pierwsza przybyła sztafeta Nr. 5 w składzie: pilot Satel na aparacie „Moth", kierowca samochodu Wilhelm Ripper na Lancii i motocyklista Hennel na „Matchlessie". Na zdjęciu aeroplan ze sztafety Nr. 1 i kierowca auta ze sztafety Nr. 5 p. Wilhelm Ripper.



ŚMIERĆ HRABIEGO GRAVINY. W Gdańsku zmarł na zapalenie ślepej kiszki Wysoki Komisarz Ligi Narodów markiz Manfred Gravina. Pochodził on ze starej rodziny włoskiej i był blisko spokrewniony z rodziną Liszta i Wagnera przez matkę swoją, która była córką Cosimy Wagner. Stanowisko komisarza w Gdańsku objął w 1928 r. we wrześniu.



PODRÓŻE PREZYDENTA ZAMORRY. Prezydent republiki hiszpańskiej Zamorra, uporawszy się z puczem monarchistycznym i zaprowadziwszy spokój w kraju odbywa obecnie podróże po Hiszpanji, witany wszędzie entuzjastycznie. Na zdjęciu widzimy go kupującego „kwiatek" w San Sebastian. Trafił bowiem na dzień kwiatka na starych marynarzy.



POKAZ MODY U INDJAN. Corocznie w Banff, w Kanadzie odbywają się wielkie uroczystości, w których biorą udział Indjanie z całego kraju i tłumy ciekawych, którzy z ogromnem zainteresowaniem przypatrują się zabawom Indjan i ich malowniczym strojom. Tego roku uroczystości te wypadły szczególnie okazale, zgromadziły bowiem rekordową liczbę widzów. Na zdjęciu familja indyjska w strojach narodowych. On nazywa się „Wielki Strzelec" a ona „Kwiatem Prerji".

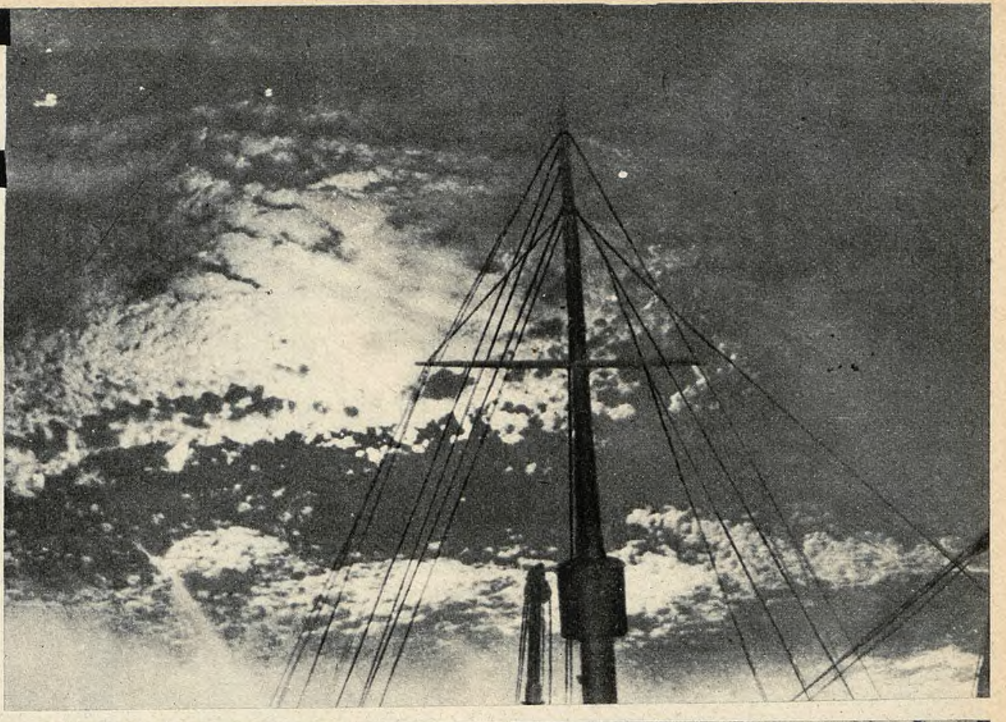


ZDOBYCIE EIGERU W ALPACH. W grupie Jungfrau (na zdjęciu) w Alpach znajduje się szczyt Eiger, o którego zdobycie napróżno silili się Alpiniści. Dopiero teraz zdało się dr. Lauperowi i Zürcherowi osiągnąć ten trudny szczyt.





URATOWANIE LATAJĄCEJ FAMILJI. Przed niedawnym czasem pułkownik amerykański Hutchison wybrał się wraz z żoną swoją i dwojgiem dzieci w podróż samolotem dookoła świata. Samolot ten ochrzczono mianem: The Flying Family (Latająca familja). Niestety podróż ta bardzo szybko skończyła się katastrofą na Grenlandji, gdzie familja musiała lądować na odludziu, skąd dopiero wyratował ją angielski parowiec „Lord Talbot". (Na zdjęciu).



CAŁKOWITE ZAĆMIENIE SŁOŃCA. Było ono widzialne w Stanach Zjednoczonych Ameryki i obserwowane przez miljony ludzi. Szczególnie silne wrażenia odnieśli pasażerowie transatlantyckich okrętów, zmierzających z Europy do Ameryki. Niezapomniany widok przedstawiało słońce, gasnące nagle w biały dzień na nieboskłonie. — Na zdjęciu sylweta olbrzyma amerykańskiego „Manhatten" w czasie zaćmienia słońca, na pełnem morzu.



BIURA POLSKIEJ LINJI OKRĘTOWEJ W NOWYM JORKU. Polska linja okrętowa Gdynia-Ameryka przeniosła się w tych dniach do nowego lokalu w Nowym Jorku przy Broadway Street 89. Na zdjęciu widoczny wspaniały fronton tych biur.

Feljeton tygodniowy.

IDEAŁ KOBIECEJ PIĘKNOŚCI W CIĄGU WIEKÓW.

Mniej więcej lat temu dwadzieścia, udało się zapalonym archeologom odkopać we Francji małe posążki, przedstawiające kobiety, nieudolnie rzeźbione w wapieniu, a sądząc po warstwie pokładów geologicznych, obliczono, że rzeźby te pochodzą z przed stu względnie stupięćdziesięciu tysięcy lat.

Artyści i badacze zadziwieni byli dziwacznym wyglądem tych postaci i zrazu wydało im się, że są to chyba twory wyobraźni. Ale inni poszukiwacze odkryli wkrótce potem zupełnie takie same posążki w Austrji, we Włoszech, w Rosji, wówczas już nie można było wątpić, że dzieła te muszą uchodzić za dokładny i wierny obraz kobiety przedhistorycznej, z epoki, gdy nasza część świata była lodowatą przestrzenią, na której żyły plemiona, utrzymujące się wyłącznie z łowów.



Wenus z Laussel (Dordogne Francja).

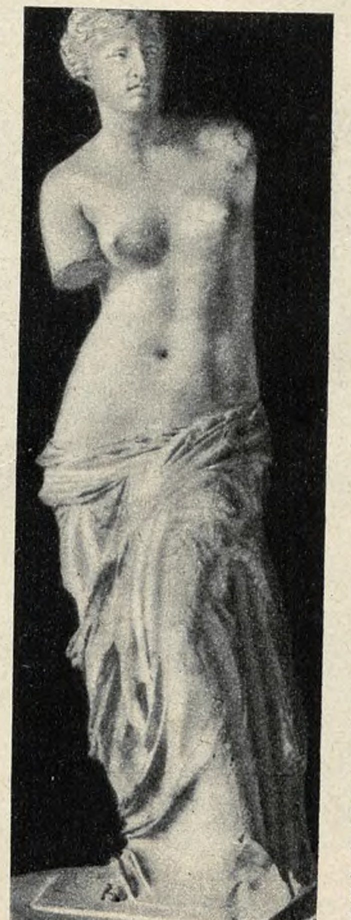
Gdy przypatrzymy się dokładnie jednej z takich płaskorzeźb wykopanych w r. 1914 we Francji, znanej pod nazwą „Wenus z Laussel", musimy zauważyć, że pierwotny artysta nie starał się odtworzyć idealnych kształtów i proporcyj, nie szukał piękna, ale chciał przedstawić w prostej, brutalnej postaci, uosobienie macierzyństwa.

Bo jeżeli się zastanowimy w jak strasznych warunkach żyli nasi najstarsi praojcowie, nie możemy się dziwić, dlaczego matka rodu była otaczaną troskliwą opieką i czcią niemal. Tę nędzne plemiona łowieckie, o tyle łatwiej mogły zdobywać konieczną żywność, o ile były liczniejsze. Pościg za zdobyczą wymagał licznych drużyn ludzi młodych, zwinnych, wyćwiczonych. Wielu z nich padało ofiarą swojej zuchwałości, rozszarpywanych pazurami niedźwiedzia, czy tygrysa.

Należało się więc starać, aby rodzina była najliczniejszą. I dlatego człowiek przedhistoryczny postawił macierzyństwo na piedestale niemal religijnym.

Artysta, który rzeźbił Wenus z Laussel, zaniechał zupełnie odtworzenia estetycznej strony kształtów kobiecych. Nawet rysy nie są wyryte, a włosy zaledwie zaznaczone. „Wenus z Laussel" trzyma w prawej dłoni coś w rodzaju rogu obfitości, ramiona jej ozdobione naramiennikami są za chude, odnóża zbyt słabe, a zwały tłuszczu nagromadzone na biodrach, utworzyły się na skutek życia pozbawionego ruchu, w ciemnych jaskiniach, gdzie te nieszczęśliwe istoty musiały przebywać. Gdy bowiem mężczyzna uganiał na wolnem powietrzu w pościgu za zwierzyną, wzdłuż strumieni po dolinach, jego towarzyszka musiała się chronić wraz ze swojem potomstwem w grotach podziemnych,, przed napadem drapieżnych zwierząt. Taką jest najstarsza podobizna kobieca, jaką posiadamy.

Patrzymy na nią ze wzruszeniem, jako na protoplastkę rodu ludzkiego i naszą prapramatkę. Jedno w tej postaci uderza. Oto brak zupełny starania o zewnętrzną estetykę ciała i brak kokieterji. Kobieta ta jest tylko matką, brudną, odpychającą i. niekształtną.



Wenus Milońska. Ideał piękna kobiecego Grecji.

Jeżli teraz, robiąc olbrzymi skok poprzez wieki, rzucimy wzrokiem na posąg Wenus z Milo, widzimy, że w epoce greckiej inny ideał piękna narzucił się ludzkości.

Grecja ze swoją radością życia stworzyła nowe ideały i nowe formy. W Helladzie obowiązywał kult ciała, pięknego, wygimnastykowanego i harmonijnego. Za najwyższy wyraz i wcielenie tych ideałów piękna uchodzi Wenus Milońska, rzeźba z IV wieku przed Chrystusem, znaleziona na początku XIX wieku na wyspie Milo.

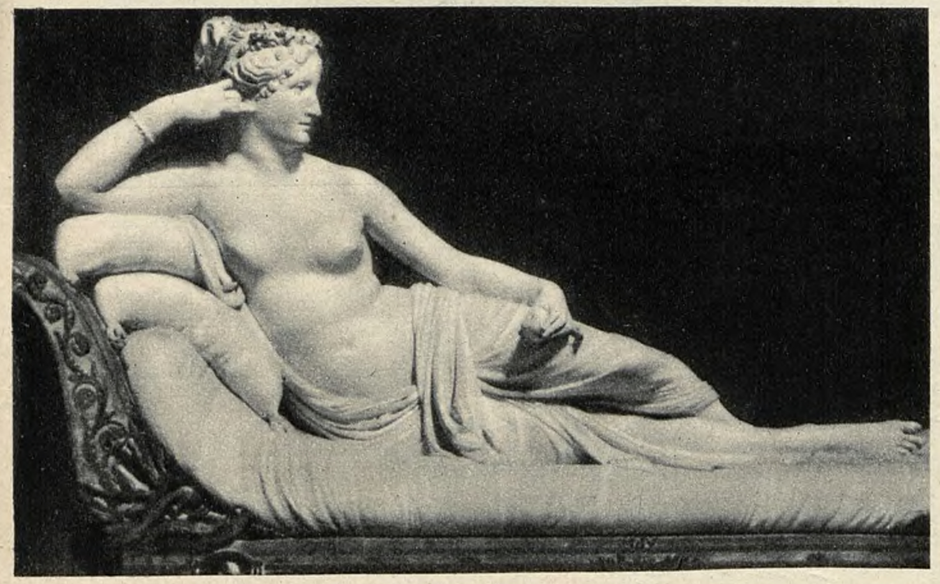
Człowiek w tych czasach nie kryje się już po grotach, nie odziewa w skóry niedźwiedzie, nie goni z oszczepem za zwierzyną. Uprawna ziemia wydaje mu owoce a szczęście, spokój i bezpieczeństwo zastępują okropności i zmory wieków minionych. W tej atmosferze pogodnej, pod blaskiem słońca południowego, na wybrzeżu szafirowego morza ciało kobiety rozwija się jak kwiat wspaniały. — Przeznaczeniem kobiety greckiej jest być naczyniem miłości.

Kochać i pożądać...

To też w sztuce zamiast bezkształtnej kobiety-matki pojawia się piękna dziewczyna, będąca uosobieniem młodości, triumfującego piękna i tego posągowego spokoju i umiaru, który wyciskał swoje piętno na duszach mieszkańców Hellady.

Ten sam umiar maluje się na twarzy Wenus z Milo.

Całemi godzinami, bez znużenia można podziwiać tę Wenus nieruchomą, piękną i spokojnie pogodną. Nic nie razi w jej rysunku, żadna przesada, a odczucie harmonji, jakie się wydzieła z tego dzieła jest tak wybitne, że zaledwie spostrzega się jego straszne okaleczenie: brak ramion.



Paolina Bonaparte Księżna Borghese, rzeźba Canovy.

Czy poczucie piękna w naszej epoce niema w sobie nic oryginalnego i czy wszystko zawdzięczamy tylko starożytności?

Nie możemy tego powiedzieć w czasach, gdy się odbywają konkursy piękności po tej i tamtej stronie Oceanu, gdy się nimi ogół interesuje i na podstawie ich informuje się, jak wygląda ideał piękna? Wobec tego ciekawem może być zapytanie, czy to pragnienie wyrafinowanego uwydatnienia piękności, narzucało się w wiekach przeszłych, z równą natarczywością? Wystarczy zbliżyć do głowy Wenus twarzyczkę uroczą, roześmianą i figlarną jednej z naszych królowych piękności, aby otrzymać nieoczekiwane wyjaśnienie. Twarz bogini greckiej jest spokojna, zimna, cokolwiek wyniosła, powieki są do połowy opuszczone, jakgdyby skupione w sobie, rysy posągowe, przybrane, nieindywidualne, albowiem sztuka grecka nie znała uśmiechu. Są to cechy charakterystyczne, — wręcz przeciwne naszej rasie i rodzajowi kobiety nowoczesnej, o żywym temperamencie i wdzięku cokolwiek niesfornym. Te młodociane twarzyczki wyrażają radość beztroską, może czasem cokolwiek kpiarską, uśmiech na nich panuje wszechwładnie, rozjaśnia rysy, rozświetla oczy, błyszczy, jak promyk słońca. Można powiedzieć, że ideał piękności kobiecej doby obecnej, nie zasadza się na zimnych i surowych kanonach, ale raczej na ogólnej, żywej harmonji; nerwowa doskonałość całości idzie o lepsze z filuterną żywością ducha.

Odeszliśmy zbyt daleko od tej ubogiej przedhistorycznej postaci o kształtach niezgrabnych i ciężkich. Jednakże czy i w naszych czasach nie istnieje coś z tego wspaniałego ideału macierzyństwa, tak bardzo wielbionego w odległych epokach? Zbyt mało znalibyśmy ludzkość, aby temu zaprzeczyć. I długo jeszcze będziemy uważać za najpiękniejsze zjawisko, świeże i wdzięczne oblicze matki, czule pochylone nad kolebką dziecięcia.

Mary.



Miss Universum 1932.

NA RYKOWISKU JELENI.

Chłód bezksiężycowej nocy wrześniowej wdzierał się wnikliwie pod poły burki myśliwskiej, złośliwie kąsał ręce, ukryte w łosiowych rękawicach.

Nie było mowy o śnie...

Tarantas dworski, uplansowany na podwójnych angielskich resorach, kołysał się tak niemiłosiernie po wybojach wąskiej drożyny leśnej, podskakiwał złośliwie na harciach i korzeniach, że każdy wstrząs i gwałtowny hybot płoszył z głowy umęczonej widmową mgiełkę snu...

Był to może raczej półsen i majaczenie. Gdzieś tam pod kopułą czaszki tłukło się jeszcze jednostajne stacatto nieznośnej podróży koleją, potem dwór, znajome twarze, chaotyczne zapytania i odpowiedzi, twarze miłe i twarze piękne i atmosfera tak czarowna, która wyprzedza zawsze chwilę polowania...

Zaś między temi, jakgdyby z filmu powybieranemi obrazami, jaskrawą kreską świtały słowa depeszy...

...Rykowisko zaczęte, przyjeżdżaj...".

Redakcja, łoskot maszyn rotacyjnych, kawiarnia, plotki, ocean atramentu — to wszystko pozostało gdzieś poza nami, jakgdyby gorączkowe widziadło, jakgdyby coś nierealnego...

Jedziemy ku rykowisku. A teraz jest noc, przecudna noc jesieni... Ziemia pachnie grzybową plechą, a ponad ciemną, nieprzeniknioną ścianą boru widnieje niebo jesienne, strzelające co chwila jasnemi rakietami meteorytów...

Droga wlecze się gdzieś niewidzialną taśmą pod górę, plecy ciężko opierają się o grzbiet oparcia...

Tak monotonnie kłapią konie i taka cisza panuje wokół...

Ale tam, tam poza ścianą czarną i niedającą się określić jakimkolwiek rysunkiem, w nocnej ciszy powstają przedziwne misterja kniei, za chwilę może ciszę nocy przerwie stęk, stęk miłosny rogacza za łanią i może... dziewicza boginka Djana napina już swój władczy łuk...

— — — — — — — — — — — —

Po poemacie wiosennych podchodów do głuszca, drugie miejsce w czasach łowów zajmuje polowanie na jelenia na rykowisku...

Jesienią, gdy złota rdza tknie bujnego podszycia o wczesnym świcie, jeleń rogacz w zapamiętaniu miłosnem pędzi za łanią...

Das ewig Weibliche... łanie wiedzą o tem, że w porze, gdy na leszczynie dojrzeją orzechy, strojny w koronę rogów królewskich jeleń-byk pieśń swoją miłosną stękać zaczyna, że staje się butnym, zadzierżystym i natarczywym jak nigdy w roku... i jak nigdy pięknym i pożądanym...

I łanie zbijają się w małe stadka i... rzekomo stronią od pięknego kochanka, by go tem bardziej do gier miłosnych na łąkach i haliznach zachęcić...

I wiedzą łanie, że w perłowe poranki na podborzu odbywają się wspaniałe średniowieczne turnieje jeleni. Tak, piękne i rycerskie te zapasy porównać się dadzą z zapasami turniejowemi, jakie ongiś odbywał człowiek...

Spotkawszy się w czasie „ryków" z drugim bykiem, będącym również w pogoni za stadem łań, byk-jeleń staje natychmiast w pozycji zaczepnej, z potężnej gardzieli dobywa chrapliwy sygnał bojowy, uzbrojony łeb pochyla i czeka ataku...

Bo oto poprzez gąszcz sunie rywal... Następuje błyskawiczna lustracja pola bitwy i oto naprzeciw siebie suną dwa złote cielska w galopie... Trzasnęły uderzone o siebie korony rogów. Jelenie wyprężają mocarne karki, zmagają się i przesilają... Pierwszy atak skończono na remis... A wtedy cofają się piękne zwierzęta i... następuje atak następny... Walka polega na tem, że jeden z jeleni, zbity z nóg i potratowany, musi ustąpić z placu...

Kochanek zwycięzca ogłasza w kniei oczekującym damom swą chwałę i pędzi dumny i szczęśliwy... Niejednokrotnie jednak zdarza się i tak, że jelenie splątawszy się rozgałęzieniami rogów, długo, bardzo długo wodzą się łbami po polanie, a bywa i tak, że już rozplątać się nie mogą... i giną.

Wielki znawca i encyklopedysta puszczy Białowieskiej, nadleśniczy p. L., pokazywał mi posiadaną u siebie w Hajnówce całą kolekcję czaszek jeleni, splątanych z sobą rogami, które w czasie długoletniego pobytu w puszczy uzbierał.

O zapalczywości szlachetnego amanta wiedzą kłusownicy i wykorzystywują ją dla swych celów...

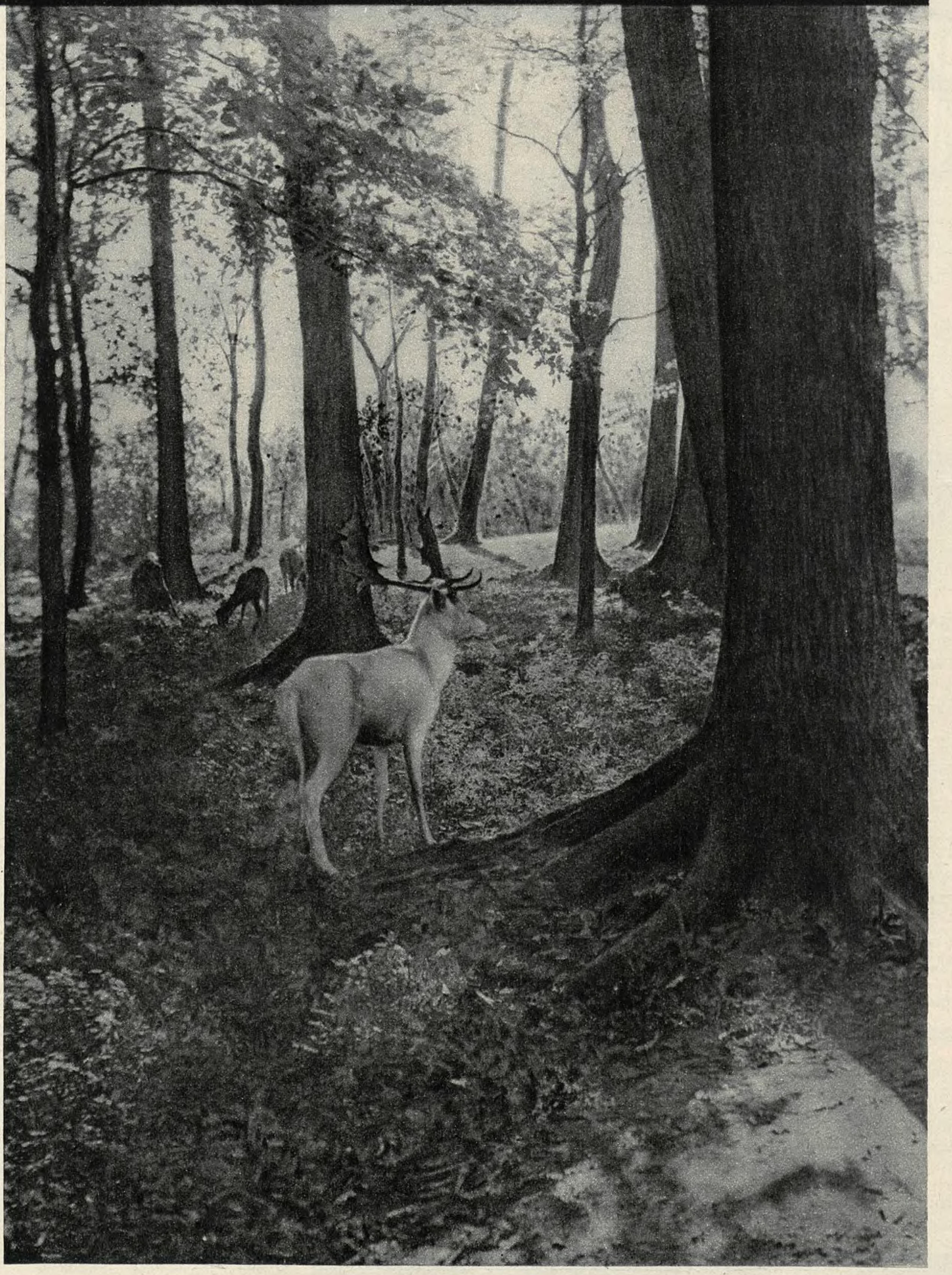
Splątane jelenie zabijają cepami, bądź siekierami...

— — — — — — — — — — — —

Poza południowemi Niemcami, krainą górskich jeleni (różnią się one od nizinowych pięknem „uperleniem" rogów), Polska posiada najidealniejsze w Europie tereny do hodowli tego pięknego zwierzęcia łowieckiego...

Jelenie zamieszkują dość licznie rezerwaty Białowieskie, lasy Spalskie i podgórskie okolice wschodniej Małopolski, a rezerwaty baronów Grödlów uważane są za najpiękniejsze miejsca rykowisk...

W Lubelszczyźnie szlachta obywatelska pielęgnowała i chroni jelenia. Lasy mirwańskie Hordlicików są omal że jedynem miejscem królewskich polowań na jelenia. Prawda, że wojna i kłusownicy zrobili swoje, ale jelenie pozostały i z roku na rok zwierzostan wykazuje przyrost.



Jeleń w kniei.

— — — — — — — — — — — —

We mgle poranka trzasnęły strzały... Jeden, drugi...

W gąszczu coś załomotało i ucichło...

— Strzelał zdaje się radca?

— To szczęściarz, już i tak ma takie piękne rogi...

— Panowie, tylko bez dwuznaczników.

— Ależ, skąd znowu, pani Julko. Jak nie on, to radczyni przysporzy mu ładne „gałęzie" do zbiorów, podobno dobrze strzela...

— Pan jest nieznośny...

— Ale chodźmy panowie...

— Ja z panem...

— Będę szczęśliwy....

Polana pustoszała. Zarysowały się jeszcze tu i tam szare sylwetki myśliwych w mgle poranka...

— Niech mi pan poda rękę.

— Służę.

— Panie Szczurku nie tak... Strzelec idzie za nami...

— Ach, prawda...

— Polował pan kiedy na rogacza?

— Ja nie, ale raz, jeden rogacz prześladował mnie okropnie...

— Gdzie to było?

— W Warszawie... pan W...

— Pan jest nieznośny!

— A jednak poszła pani ze mną...

Ale strzelec przestrzegł rozmawiających, że rozmawiać zbyt wiele nie można...

Las rzedł i przed myśliwymi otworzyła się szmaragdowa polana, okolona ciemnym borem.

Lekka mgła kołysała się i tuliła do traw...

Cicho, cichuśko, tylko gdzieś w gąszczu darła się sojka...

Aż wtem ponad mgławicą oparów wystrzeliła pod lasem złota statua jelenia...

Spostrzegł ludzi zapewne, bo wzniósł łeb swój wspaniały dumnie, wysoko i spoglądał ku nim...

Pani Julka szepnęła:

— Niech pan nie strzela, taki piękny...

Ale było już zapóźno!

Broń szczęknęła wystrzałem.

Jeleń potknął się i pogalopował w gąszcz... Zielony sługa dworski popędził za ginącem zwierzęciem — zostali sami...

— No i co pan zrobił?!...

— No nic, strzeliłem...

— I co teraz będzie?...

— Odnajdzie strzelec jelenia i da nam znać...

— A rogi? —

— Poślę pani narzeczonemu.

— Farceur!... Pan tego nie zrobi...

— Ależ pani go nie kocha...

— Kogo? jelenia?...

— Nie, rogacza.

— — — — — — — — — — — —

Na zielonym dywanie kniei spoczywał wspaniały zwierz...

Padając, zaplątał w girlandę rogów porwane zielone gałązki leszczyny... Jak z bronzu ulany, dumny swą wspaniałą koroną i piękny majestatem śmierci, jak artystyczna winieta do księgi łowów, którą hukiem wystrzału na rykowisku rozwarł człowiek.

FELIKS DANGEL.

JESIEŃ PANI I PANA.









Jesień stoi w znaku grubej wełny „boucle" i „homespun" oraz futer wszelkiego gatunku. Panie mają do wyboru płaszcze i kostjumy, żakieciki futrzane lub pelerynkowate małe „cape", nie licząc całych płaszczy z cennych futer, których sezonem będzie dopiero właściwie zima.

Modne obecnie wełny, o grubej, szorstkiej tkaninie, wymagają nienagannego kroju, aby przypadkiem nie poszerzyć sylwetki kobiecej. To też nosi się fasony obcisłe z odcinanemi brytami, których szwy wydłużają figurę. Prawie każdy płaszcz ma pasek umieszczony wysoko na linji stanu, co również działa korzystnie, zwłaszcza, że długość płaszcza znów się wydatnie zaznacza. Ten wzgląd jest też bardzo praktyczny na coraz zimniejszą porę.

Zarówno płaszcze, jak i kostjumy przybrane są często futrem w kształcie kołnierzy i manszetów, jak też i odrębnych, fantazyjnych krawatów futrzanych. Także i zarękawki już od jesieni zaznaczają swą egzystencję na rynku. Ze względu też na zarękawki, zwężone są znacznie rękawy od linji łokcia ku dłoni. Od łokcia do ramienia wykonany jest częstokroć rękaw z futra, zwłaszcza przy bardziej fantazyjnych modelach. Z futra też ukazuje się dużo czapeczek i beretów. Oczywiście z futer krótko strzyżonych, aby nie utracić ideału, przepisanego główce kobiecej, który jej każe być małą i kształtną.

W przeciwieństwie do ubiegłej wiosny, która lubowała się w żywych, a nawet mocno jaskrawych kolorach, jesień jakby ustatkowała się w tym kierunku i przynosi materjały stonowane, ciemne, często czarne, zwłaszcza jeżeli chodzi o płaszcze i kostjumy. W naszych stosunkach atmosferycznych jesieni jest to moda najodpowiedniejsza. Gdyby tak jeszcze wróciły wysokie buciki, nie byłoby w naszym stroju żadnych absurdów na okres dżdżysty i błotnisty.

Moda męska, stateczna w utrzymywaniu praktycznych form, powraca w jesieni do wygodnych raglanów i prostych zarzutek z gładkiej wełny. Raglany z angielskich grubych materjałów, często w dużą kratę, są odpowiednie na porę deszczową, zwłaszcza jeżeli te materjały są impregnowane. Zarzutki natomiast zapinane na dwa szeregi guzików nosić zwykli panowie w dnie pogodne.

Ważnemi szczegółami męskich okryć są kołnierze i kieszenie. Przy raglanie winien być kołnierz tak odszyty, żeby podniesiony w czasie deszczu nie raził brzydką podszewką i niestarannem wykończeniem. Kołnierz natomiast przy zarzutce jest bardziej przylegający i przystosowany do stałego wyłożenia. Kieszenie przy raglanie wszyte być mają od wewnątrz na skos, przy zarzutce nałożone są z wierzchu i w kierunku prostopadłym, oraz nakryte są kapką.

Kwestja paska czy też t. zw. dragona przy okryciu męskiem podlega częstym zmianom. Na jesień zapowiada się powrót dragonów przy zarzutkach, natomiast raglany nosi się wolno, nie obciśnięte żadnym paskiem.

Zarówno modę damską, jak i męską nadchodzącej jesieni nazwać można modą linji prostej. Ta prostota i spokojna elegancja cechować zwykła ludzi o wytwornym smaku i ci znajdą w modelach jesieni prawdziwe zadowolenie.

W. W.

Młodociany płaszcz jesienny z krawatką z perskich baranków w kolorze popielatym.

Cape, czapeczka i zarękawek z nutrji do wełnianego płaszcza.

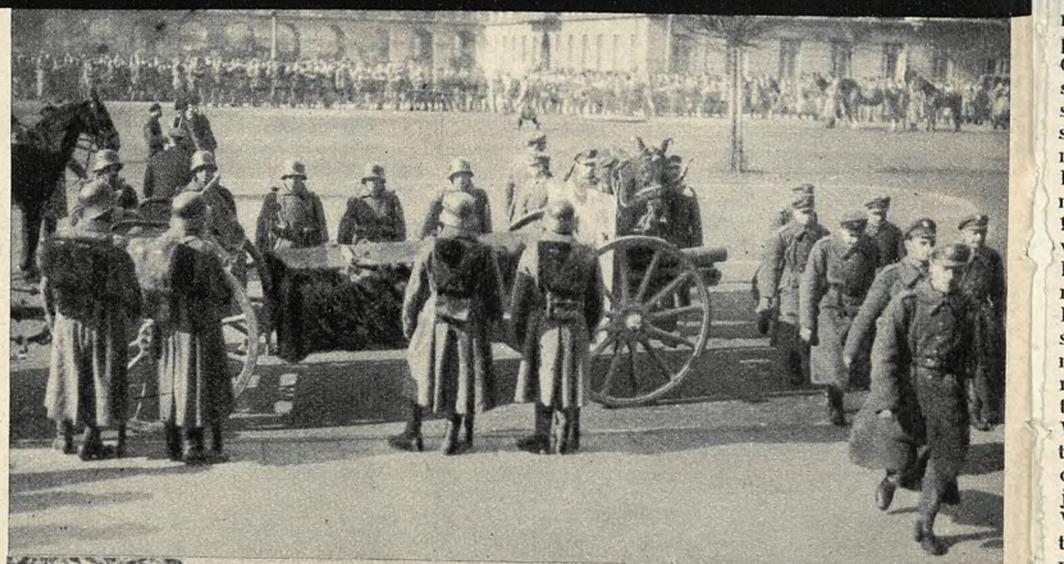
Powyżej: Elegancki raglan i zarzutka na chłodne dni jesieni.

Sportowy płaszcz boucle z paskiem. Kołnierz i wyłogi wyłożone czerwoną skórą.

ODSŁONIĘCIE POMNIKA PŁK. LISA-KULI.



Ś. p. płk. Leopold Lis-Kula, bohater walk o niepodległość. Urodzony dn. 19 listopada 1896 r. w Kosinie (województwo Lwowskie) ginie na polu chwały dn. 7 marca 1919 r. pod Torczynem.



Trumna ze zwłokami s. p. płk. Lisa-Kuli na placu Marszałka J. Piłsudskiego w Warszawie. Zdjęcie z 1919 roku.



Grobowiec ś. p. płk. Lisa-Kuli na cmentarzu w Rzeszowie.



Siostry i matka ś. p. płk. Lisa-Kuli. Pochodzi ona z rodziny Czajkowskich, tej samej która wydała sławnego Emira, który ongiś formował legjony w Turcji.



Domek w Rzeszowie, w którym ś. p. płk. Lis-Kula mieszkał do czwartego roku życia.

Przed niewielu zaledwie tygodniami Warszawa, a z nią cała Polska przystanęła w zbożnym hołdzie u trumny pułkownika Barthel de Weydenthala. Śmiertelne szczątki tego młodego orła, któremu nie było danem rozwinąć skrzydeł do pełnego lotu, gdyż kula wroga dosięgła go w zaraniu niemal życia w odległej, obcej Odessie, wróciły wreszcie do ziemi ojczystej. Przed trumną tą sprężył się na baczność naród cały, jako przed symbolem najwyższej cnoty żołnierskiej i wiernej służby, walczącej o wolność Ojczyźnie.

Dziś przychodzi nam oddać pośmiertny hołd świetlanej pamięci pułkownika Leopolda Lisa-Kuli, rycerza z pod tego samego znaku. Mieszane zaiste uczucia wypełniają nasze serca w momencie, gdy w Rzeszowie święci się uroczystość odsłonięcia pomnika tego junaka, uroczystość, uświetniona udziałem najwyższych przedstawicieli rządu i wojska, opromieniona gorącem biciem wzruszonych serc dawnych towarzyszy broni i mieszkańców miasta, z którego ś. p. Lis-Kula rozpoczął swój lot ku nieśmiertelności. Ogarnia nas z pewnością głęboki żal na myśl, że tak przedwcześnie złamany został ten łuk woli, napiętej zwycięsko ku celom dalekim, że zgasły te oczy nieustraszone, władcze, pełne wiary i entuzjazmu. Lecz równocześnie, gdy wsłuchujemy się w bohaterski rytm krótkiego życia ś. p. Lisa-Kuli, czujemy idący ku nam od tej postaci oddech wielkości, słyszymy poszum orlich skrzydeł, który dusze nasze rozpręża, wznosi wzwyż i nastawia na tor pracy, poświęceń i ofiar.

Mając już za sobą parę lat przygotowawczej pracy wojskowej w organizacjach strzeleckich, 18-letni Lis-Kula wyrusza w sierpniu 1914 r. na czele kompanji rzeszowskiej w pole, w szeregi 1 brygady Legjonów, w bój o niepodległość. Od pierwszego chrztu ogniowego pod Krzywopłotami staje się odrazu wszystkim jasne, że w osobie Lisa-Kuli pojawił się urodzony, wielkiej miary dowódca. Niezwykły talent wojskowy, nieustraszona odwaga i opanowane męstwo, zdolność narzucania swej woli podwładnym i przykuwania ich do siebie więzią miłości i posłuchu, pasują go z miejsca na jednego z czołowych żołnierzy Piłsudskiego. To też szlak bitew 1 brygady wpisuje do żołnierskiego stanu służby Lisa-Kuli wciąż nowe dowody jego wysokich wartości wojskowych. Etapami na jego drodze ku sławie — by wymienić tylko najważniejsze — są Kukle, Kamieniucha, Jabłonka, Kostiuchnówka. W tej ostatniej bitwie, największej i najkrwawszej z bitew legjonowych, kompanja Lisa w pierwszym dniu boju odrzuca przeciwuderzeniem przeważające siły rosyjskie, zachodzące już na tyły reduty Piłsudskiego, i umożliwia przez to wycofanie się V bataljonowi. W drugim dniu, już na tle ogólnego odwrotu, taż kompanja wykonywa szereg brawurowych przeciwnatarć, osadzając na miejscu napierającego nieprzyjaciela i odbijając otoczony już przez wroga sztab 3 pułku 1 brygady. W trzecim i ostatnim wreszcie dniu boju wspólnie z VI. bataljonem dziesiątkuje, kładzie zaiste pokotem całe pułki nieprzyjacielskiej kawalerji, rzucone przez dowództwo rosyjskie dla dokonania zupełnego rozgromienia legjonowych oddziałów.



Wymarsz na ćwiczenia Związku Strzeleckiego w Zakopanem w lecie 1912 r. Prowadzą oddział komendant Józef Piłsudski i Kazimierz Sosnkowski. W pierwszym szeregu, oznaczony krzyżykiem, Leopold Lis-Kula.

Wycofanie legjonów z frontu i przerzucenie ich na teren Królestwa do dotychczasowych zasług Lisa-Kuli dodaje nowe, jeszcze może piękniejsze. Bohaterski dowódca jawi się nam teraz w pełnym blasku cnót obywatelskich pierwszej próby. Tak samo nieustraszony i nieugięty, odważny w decyzji, stanowczy w wykonaniu, nieznający kompromisu i wahań, staje wespół z innymi do trudniejszej może walki o honor narodu, o podtrzymanie w społeczeństwie ducha oporu i wiary w ostateczne zwycięstwo, do walki z niemieckim okupantem i rodzimą ugodą. Są to wszak czasy Rady Stanu i t. zw. kryzysu przysięgowego w legjonach, czasy obozów jeńców w Magdeburgu, Benjaminowie i Szczypiornie, czasy zsyłki legjonistów — poddanych austrjackich na front włoski, wreszcie czasy rozległej podziemnej roboty niepodległościowej, wykuwającej broń do ostatecznej z wrogiem rozprawy. Lis-Kula, podówczas już dowódca bataljonu i członek legjonowej Rady Oficerskiej, która kierowała całą akcją niepodległościową, jest z pewnością najmłodszy wiekiem w tem gronie. A równocześnie wykazuje taką dojrzałość sądu, taką nieugiętość działania, taką moc suggestywnego oddziaływania na ludzi, że to 21-letnie pacholę staje się prawdziwym chorążym polskiej irredenty.

Tak bujne i pełne odmian jest krótkie życie Lisa-Kuli, że nie sposób jest śledzić choćby pokrótce wszystkie jego etapy. Pomińmy więc okres jego służby wojskowej na froncie włoskim, już w szeregach armji austrjackiej, do której został wcielony po rozbiciu legjonów. I tam zabłysnął brawurowym atakiem na blokhauzy włoskie. Wyleczywszy się z ran, w tem spotkaniu odniesionych, spieszy na nowy posterunek heroicznej służby sprawie wolności. Przedostaje się na Ukrainę i wespół z innymi, jak Barthel, Hołówko, Miedziński, Schaetzel, Wieniawa itd. próbuje hasła walki narzucić polskim korpusom, wyłonionym z armji rosyjskiej i organizuje na południu Rosji POW, podejmując wnet dywersyjną, skuteczną akcję przeciw Niemcom, wrzynającym się swym stalowym toporem coraz dalej w głąb bolszewickiego państwa.

Na wieść o rozpadzie państw centralnych rozpoczyna żołnierski marsz ku ziemi ojczystej. Na czele zaimprowizowanych oddziałów w pierwszych dniach listopada rusza na odsiecz Lwowa, broczącego krwią w nierównej walce z Ukraińcami. Osaczony pod Brodami dostaje się do niewoli. Natychmiast po wyswobodzeniu się z niej staje w szeregi obrońców niepodległej już Rzeczypospolitej. Walczy u wschodnich granic państwa najpierw na czele bataljonu 23 p. p., później na czele większych grup kombinowanych najpierw w rejonie Rawy ruskiej, wreszcie na Wołyniu. Tu w boju nocnym o Torczyn 7 maja 1919, kończy swój żywot żołnierski.

W uroczystości odsłonięcia pomnika ś. p. Lisa-Kuli biorą również udział i delegacje młodzieży szkolnej. Nic słuszniejszego od tej decyzji ministerstwa oświaty! W życiowym trudzie tego żołnierza-obywatela tkwi takie znamię wielkości heroicznej, że pamięć o nim pozostanie w narodzie na zawsze i uskrzydlać będzie nowe wciąż pokolenia. Lis-Kula, żołnierz z Bożej łaski, młodzieńczyk o rzymskiej cnocie obywatelskiej, z uśmiechem i prostotą biorący na swe barki zadania, zda się, nadludzkie, bo oto ojczyzna w niebezpieczeństwie, i z poza grobu jest nam przykładem i symbolem. Jest jednym z tych kamieni, przez Boga rzucanych na szaniec, z których wyrasta gmach potęgi i rozwoju Rzeczypospolitej.

Al. Rutkowski.



Pomnik płk. Lisa-Kuli, dzieło prof. Wittiga.



Pan Prezydent Rzeczypospolitej na mszy polowej w Rzeszowie. Obok Pana Prezydenta Pani Marszałkowa Piłsudska.



Pani Marszałkowa Piłsudska z córeczkami Jagódką i Wandzią. Obok Pani Marszałkowej (po prawej) siedzi matka ś. p. Lisa-Kuli.



Moment odsłonięcia pomnika pułkownika Lisa-Kuli w Rzeszowie, dnia 18-go września b. r.

Logogryf.

WALKA Z BEZROBOCIEM.

(ul. L. Ciesielski, czł kl. Szar.).

Zstąpił na ziemię rycerz strasznolicy,
Co z ludzkiej niedoli i nędzy jest rodem...
I zagrzmiał zuchwale: „Hej! wy przeciwnicy!
Kto śmiały z was **dziesięć** walczyć ze mną głodem?..."

Na harde wezwanie **pierwsza** się porywa
Silna, zdrowa Młodość i na wroga wpada —
Straszny władca z twarzy jej rumieniec zrywa
I dusząc jej **piąte** — martwą na ziem składa...

Za nią silna Praca na wroga uderza;
Lecz dłużej z nią walczył **trzeci** straszny, srogi —
A choć jej twardego nie rozdarł pancerza,
Zwyciężył ją jednak i usunął z drogi...

Za niemi Nauka ku wrogowi zmierza,
Siedem niezmożona, twarda, wielka siła;
Ten jednak wbił srogi wzrok w **drugie** rycerza —
I bez walki zmusił, aby broń złożyła.

Któż teraz zwycięży straszliwego męża?
Młodość nie **wspak dziewięć**, Praca nie pokona,
Nauka swą siłę daremnie wytęża —
We walce z nich każde w kleszczach jego kona...

Po trupach co leżą **pierwszym** na wsze strony
Wróg z wyciągniętymi ramiony wciąż kroczy
Coraz krwawiej wpija w świat cały swe szpony,
Straszny niosąc **ósmy**, co tak ludzkość toczy...

— — — — — — — — — — — —

Lecz na wroga pójdą siły z Nieba wzięte:
Miłość **czwarta wsteczna**, spokojna i błoga
I od **wspak Szóstego** Miłosierdzie święte —
...A te dwie potęgi pokonają wroga!...

——o——

(Początkowe litery wynalezionych wyrazów logogryfu, czytane od góry do dołu, oraz końcowe od dołu do góry, dadzą aktualne rozwiązanie. Dla ułatwienia podajemy sylaby wyrazów:
ag, ahc, bę, carz, czy, dło, dzie, gar, ic, ja, ko, ko, lawz, mo, mór, o, ob, po, tem, yzc).

Za rozwiązanie niniejszego zadania Redakcja „Światowida" przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 30, druga zł. 20, trzecia zł. 10.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 1 października 1932, wraz z załączonym kuponem.

Trafne rozwiązanie zagadki z Nr. 35 nadesłali:

A. Witkowski, Poznań; J. Maziarz, Ozorków; D. Herbstmanówna, Warszawa; „Gon", Warszawa; J. Kowalska, Warszawa; K. Wiśniewski, Warszawa; Z. Tietz, Warsazwa; „Żermena", Warszawa; J. Bormann, Warszawa; S. Mikowska, Warszawa; St. Biesiada, Ozorków; R. Schützowa, Poznań; **Marja Podlewska, Czeladź (zł. 30.—)**; A. Rotter, Kraków; Z. Połonczowa, Warszawa; „Liliputka", Zahacie; „Żbik", Zahacie; N. Kozłowski, Warszawa; St. Kornaszewski, Inowrocław; **Wł. Mackiewicz, Dubno (zł. 20.—)**; Grenicheux, Warszawa; „Wrezsień"; „Gaspard", Warszawa; **Teofil Sobecki, Poznań (zł. 10.—)**; T. Kretkowski, Warszawa.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Marję Podlewską, Czeladź (zł. 30.—), Wł. Mackiewicza, Dubno (zł. 20.—) i Teofila Sobeckiego, Poznań (zł. 10.—).

Redakcja „Światowida" prześle wyżej wymienionym niebawem gotówkę.

Odpowiedzi Redakcji.

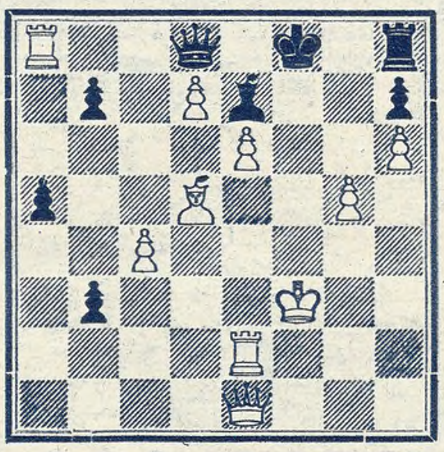
WPAN MICH. KOŁODZIEJ, OMAHA, NEBRASKA. Pańskie słowa uznania zakomunikowaliśmy Redakcji „Dziesięciolecia Polski Odrodoznej". Sprawę nabycia dalszych książek polskich oddaliśmy jednej z księgarń krakowskich, która się do WPana zwróci listem osobnym.

Dział szachowy

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

E. Ferber (I zaszczytna wzmianka w konkursie „Cercle de Lutece" w r. 1931).

Czarne: Kf8, Hd8, Wh8, Ge7, piony: a5, b3, b7, h7 (8).



Białe: Kf3, He1, Wa8e2, Gd5, piony: c4, d7, e6, g5, h6 (10).

3-chodówka: 10 + 8 = 18.

Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki E. Ferbera: 1. H—d2!

I. 1... G—a3 2. H—b2 i 3×;
II. 1... G—b4 2. H×b4+ i 3×;
III. 1... G—c5 2. H—d4 i 3×;
IV. 1... G—f6 2. g×f6 i 3×;
V. 1... G×g5 2. H×g5 i 3×;
VI. 1... inaczej 2. H—f4+ i 3×.

PARTJA.

Białe: **Fink** Czarne: **Dr. A. Alechin**

grana w niedawno zakończonym turnieju w Pasadena.

Partja angielska.

1. e4 e5	9. H×c6+ G—d7
2. S—f3 S—c6	10. H—a6 0—0
3. c3 d5	11. G—e2 W—e8
4. H—a4 S—f6	12. S—d2 (2) W—b8 (3)
5. S×e5 G—d6	13. a4 H—e7
6. S×c6 d×c6	14. S—f1 (4) G—b5 **Białe poddały się (5).**
7. e5 (1) G×e5	
8. d4 G—d6	

UWAGI:

(1) Należało grać 7. d3.
(2) 12. G—d2 S—g4!
(3) Grozi 13... G—b5!
(4) Białe zamierzają przeprowadzić skoczka na e3.

(5) Następuje strata hetmana białego lub mat na e2. Mistrz świata, który zresztą w turnieju w Pasadena jak i w Bernie nie znajdował się już w tak nadzwyczajnej formie, jak w zeszłorocznych turniejach w San Remo i Bled (Valdesz), grał tą partję świetnie. Na uwagę zasługuje ciekawa idea ofiary piona c6 za rozwój i przemożny atak.

Rozwiązanie z Nr. 35

SZARADA: Puste kasy w ogórkowe czasy.

ELIMINATKA: Co było nasze będzie nasze.



KLUCZ: FRUKT.

RÓŻNICA.



— Czy łapanie ryb jest tak nudne, że pan czyta przy tem książkę?
— Nie, tylko książka jest tak nudna, że przy tem łapię ryby.

ŻAŁOSNE SKUTKI ZABAWY TOWARZYSKIEJ.



KUPON Nr. 39 *upoważniający do losowania nagrody*

KRAKOWIACY I GÓRALE.



Kompanja strzelców z Podhala prezentuje broń w czasie hymnu państwowego, odegranego po poświęceniu sztandaru na dziedzińcu wawelskim.



Oblubienica i drużka z „Hanusinego Wesela", widowiska regjonalnego, oddającego wiernie zwyczaje weselne okolic podkrakowskich.



Krakowianki z wieńcem dożynkowym.



Wieśniak z Podegrodzia w odświętnym swym stroju.

U naszego pana,
pszenica jak ściana,
żyto sięga nieba,
nie braknie nam chleba.

Z taką wieścią przyszła do Krakowa młoda wieś. Kraków ujrzał ją i został podbity. Przez trzy dni ulice jego były we władaniu tego bajecznie kolorowego tłumu.

Został nawiązany serdeczny kontakt między miastem starem a młodą wsią. Wieś przyniosła ze sobą, co miała najlepszego.

Było to wielkie, miłe widowisko. Zdawało się, że Krakowiacy i Górale opuścili scenę teatralną, aby na rynku krakowskim i dziedzińcu wawelskiego zamku święcić swe wesele, swą zgodę. A na to wesele przybyli goście aż od Sanu i Wisłoki.

Podhalanie wnieśli werwę i wesołość. Gdy szli Nowosądeczanie — zrywały się huragany braw.

Ziemie środkowej Małopolski przysłały swą dostojność i powagę. Kmiecie z ropczyckiego czy rzeszowskiego mieli w sobie dziwną powagę. — Mieleckie przysłało nam swych siewców. Oby z tego ziarna, które padło na bruk krakowski, wyrosło na drugi rok święto, jeszcze piękniejsze, zgody wsi i miasta.

Oby pług, który ciągnęli przez rynek — przeorał jak najbardziej duszę miasta, by gotowe było na przyjęcie posiewu dobrego ziarna.

Bo goście Krakowa nie przynieśli nam ziarna zardzewiałego. — Przywieźli nie wiele z tych kłosów pszenicznych, których im rdza nie zjadła. Przywieźli kłosy złote i serca złote.

A to właśnie było największym cudem. Skarżyli się nam w piosenkach swych na złą dolę losu, który nie szczędzi im klęsk żywiołowych. Mimo ciężkich chwil — rdza nie nadgryzła im serc.

Gdy cisnęli się hurmem do przedstawiciela Włodarza wawelskiego, aby mu złożyć wieniec z orłem, gdy ociągali się długo, zanim odeszli, zostawiając miejsce grupie następnej, gdy przedłużali swe piosenki, byleby dłużej trwało składanie ich wieńca — widać było, że przyjechali tu z szczerem otwartem i szczerem.

Dlatego święto młodej wsi — tej wsi, która jutro czy pojutrze obejmie gospodarkę — było również i świętem Krakowa.

Przywieźli nam swe muzyki, swe chóry, swe obrzędy weselne, swój humor, swą barwność — przywieźli nam oddech pól i łąk, przywieźli nam wielki kawał Polski.

To był królewski dar.

Przywieźli nam słońce nasze, którego promienie zastygły w tych strojach, mieniących się wszystkiemi barwami. Przynieśli nam tęczę swych wstążek, gorsetów i sukman. Ci z gór przywieźli nam jędrność wichru i żywiołowość potoku górskiego. Runęli na miasto, jakby rozpędzeni w biegu gór. Ci z nad Wisły przynieśli nam rozlewność i majestatyczność wielkiej rzeki. Inni wreszcie przynieśli nam urodę pól, na których „żyto sięga nieba".

Na święcie tem dusze sięgały nieba... **Grer.**

ECHA ŚWIĘTA WSI.



Wśród licznie zebranego ludu w dniu Święta Młodej Wsi w Krakowie wyróżniały się barwne kostjumy ludowe dziewcząt z Wilamowic (powiat Biała). Na zdjęciu Wilamowiczanki na dachu Pałacu Prasy w Krakowie. Szczegóły na str. 23. FOT. J. SZWEDO.